



JAN BABIŃSKI

„MERCEDESEM” do KUTNA

Życia pan nie znasz, nie byłeś pan w Kutnie?

No właśnie. Chcesz obywatelu, dostać się koleją do Moskwy, Berlina, promem przez Szczecin do Kopenhagi i Sztokholmu, chcesz ruszyć w jedną z czterech stron świata, nolens volens o Kutno zawadzić musisz. Chcesz przysnąć na bułgarskie piaski nie „Orbisem”, ale własnym „Oplemkapitanem” obowiązku do Kutna wędpać musisz. Taki dziś dzień nastał, że nie Warszawa jest handlową stolicą aut klasy międzynarodowej, lecz tą stolicą jest Kutno. To z Warszawy przybywają do Kutna nabici forsa panowie.

Przybywają do obywateli, którzy są w posiadaniu urzędowej licencji na pośrednictwo w obrocie samochodami używanymi.

Jeden z tych obywateli to automobilista-wycyznowiec. Gdy powracał w triumfie wielkim z rajdu do Monte Carlo, wszystkie taksówkarze wyjechali z Kutna aż hen do Azorów, (chodzi o Azory pod Kutnem), aby klaskowym hymnem powitać swego mistrza, który był przecież kiedyś taksówkarzem, potem sprzedawcą części wymiennych do traktorów, producentem samogrających pocztówek. Wreszcie zorientował się, że inne wiatry wieją: nim „Motozbyt” połapał się w sytuacji, on pierwszy założył interes, który miał się okazać kwitnącem. Zrozumiał, że przed faktami należy się ugiąć, to jest należy się do nich dostosować.

Takim faktem jest pęd do motoryzacji.

A wszystko przez pana Izaaka de Riway, majora wojsk szwajcarskich, emeryta z napoleońskich wojen. Ten major zamiast cieszyć się spo-

kojną starością i cudem Alp niebotycznych, zabrał się do majsterkowania. Zbudował pierwszy w dziejach silnik wewnętrzny spalania. Skonstruował też pojazd. To nie, że wehikuł wyróżniał całym rozpadem w szopie zamkniętą na warsztat i rozbił ją w pył. Najważniejsze, że w tym momencie zapaliła się iskra. To Riway ją wykrzeszał. Ta iskra pali się teraz w silnikowych sercach 150 milionów samochodów osobowych rozrzuconych po wszystkich kontynentach.

Izaak de Riway nie przypuszczał, że w chwili gdy usiadł w swej cudacznej karrecie, zrodził się początek ery, którą Paul Meyen sekretarz Automobilklubu Francji tak scharakteryzował w 1902 roku:

„Nous sommes entres dans l'era Mercedes...”

Wkroczyliśmy w erę mercedesów. Ilu ich było, współtwórców tej ery? Daimler, Bosch, Benz, Ford, Dunlop, Porsche... cały legion. Znakończono, obdarzeni ową łaską i natchnieniem, wszyscy oni mieli wspólny rys. Pasjonowali ich ruch, fascynowało wszystko, co poruszało się z wielką szybkością. To dzięki nim samochód sunął jak na skrzydłach, polyka dziś przez godzinę prawie 700 kilometrów. Zdaniem speców może pokonać 835 kilometrów. Wiecej nie poknie, bo musiałby złamać barierę dźwięku, tego zaś bez rądzimych skrzydeł dokonać się nie da.

Era mercedesów trwa i nie widać jej końca.

Panna Jellinek, osóbka skromna, dobrze ułożona, weca le tego nie pragnąc, przeszła do historii. Tak się złożyło, że Herr Paul Daimler był naówczas człowiekiem młodym, o gorącej krwi. Spoglą-

dał na swe wypleszczone dzieło, na nowy model auta i nie mógł się zdecydować, jakie mu dać imię. Mercedes? To brzmi nieźle, bardzo melodyjnie, tajemniczo jak głos hiszpańskiej tancerki z kastanietami u rączek. Mercedes? Hm, to przecież imię pięknej córki pana Jellinka, przedstawiciela firmy Daimler na Lazurowym Wybrzeżu. No i wyklucza się nazwa aut-symbolu elegancji, spokojnej linii klasycznej, luksusu dyskretnego. To auto odróżni się z daleka, choćby miało zerwaną trójramienną gwiazdę w kole.

Drogie są te mercedesy, opele, a jednak starsi panowie (biskupi również) wala do Kutna, na nic nie bacząc i pytając bez tchu z ogniem neofitów w oczach:

— Znajdzie się jakaś zagraniczna limuzyna?

— Dlaczego nie, ale transakcję przypieczętujemy w Ożarowie albo w Gatce Nowej.

Starsi panowie z portfelem wypchanym jak kutnowska stodoła po żniwach, udają się więc do Ożarowa. Aż drżą, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy dosięgną rumaka o nogach ze stali. Kto ich tam wie, może przeczytali jeszcze w młodości przemądrą sentencję mądrego Baudrey de Sauvier:

„Co to za wspaniała huśtawka ten automobil. Gdyby Wolterowi było dane zostać szoferem, na pewno pozbyłby się za kierownicą swej piekielnej żółci. Automobil — jakaż to cudowna kuracja przeciw zmęczeniu intelektu.

Dalszy ciąg na str. 6



ŁÓDŹ

Fot. W. Michałowski

ZDZISŁAW KACZMAREK

NADZIEJE

spod ziemi

ni pokój należał do tego mieszkania i teraz może należeć — wystarczy tylko otworzyć drzwi.

I trzeci pokój został urządzony dla córki. Izer Grynsztajn nie sprowadzał do niego nowych mebli; w swoim mieszkaniu miał ich wystarczającą ilość i były tak ładne, że tylko starosta Rumkowski miał piękniejsze. A chociaż obecnie nie zawsze służyły tym celom co kiedyś, to jednak świadczyły o przedwojennej zamożności ich właściciela. W kredensie, który zajmował całą ścianę była ułożona białozłota pościelowa, osobista i obrusy rodziny. Srebrne naczynia ukrył Grynsztajn u starych, dobrych przyjaciół.

Przed kilkoma laty podczas kryzysu Izer Grynsztajn stracił przedsiębiorstwo. Grynsztajn pracował we własnej niegdyś przedsiębiorstwie jako fachowiec. Kiedy przed dwoma laty otrzymał

Dokończenie na str. 5

Lata całe trzeba było czekać na tę hojność losu. Miasto, chodzące zawsze na pasku pobliskiego Piotrkowa, ukrywające wsiadłwie swój miejsko-wiejski żywot, mogło ukazać w pewnym momencie twarz już nie zaróżowioną. Stało to się nagle: w 1956 roku los sypnął ze swego dotychczas pustego worka nominacje, wobec której zasiadali mieszkańcy żeby rozdzialił na milie, bo to przecież ani im w głowie taki zaszczyt! Betehatów powiatowym miastem! Mówia dziś, że niektórzy nie uwierzyli, póki na własne oczy nie obejrzel prostokątnego szyldu, który zawisł na najważniejszym dotąd budynku miejskiej rady.

Alle los w hojność przeszedł siebie, zadomowił się tu widać na dobre. Tym razem osłupienie było większe: po

Dalszy ciąg no str. 2

FRANTIŠEK KAFKA

przełożył

MAREK REGEL

OKRUTNE LATA

Przed kilkoma miesiącami nakładem wydawnictwa „Nase Vojsko” (odpowiednik MON) ukazała się w Pradze książka — *Kruta Léta (Okrutne lata)*. Napisał ją František Kafka — krewny wielkiego Franza Kafki — pisarz z CSRS popularny i czytany. *Okrutne lata* to już trzecia książka Kafki i chyba artystycznie najdojrzalsza. Kupić ją dzisiaj w praskich księgarniach to rzecz bardzo trudna, a może nawet niemożliwa. Ostatnio kilku czechosłowackich krytyków opowiadało mi, że w najbliższym czasie *Okrutne lata* zostaną wydane na Zachodzie, w ZSRR i Jugosławii. Kiedy polski czytelnik będzie ją mógł przeczytać w całości, dotąd jeszcze nie wiadomo. *Okrutne lata* to powieść dokument o łódzkim getcie, o tragedii tysięcy Żydów wziętych na Bałuty przez Niemców prawie z całej Europy. Książka Kafki oddaje doskonale atmosferę tamtych dni, pokazuje nastroje panujące w okupowanej przez hitlerowców Łódź. Jest jednym z wielu zarzutów nie do odparcia w wielkim akcie oskarżenia skierowanym przeciwko zbrodniarzom z łódzkiego getta, których proces — jak doniosła prasa polska — rozpoczął się niedawno przed sądem w Hanowerze. Obok drukujemy fragment *Okrutnych lat*.

Mieszkanie Izera Grynsztajna przy ul. Lipowej było jednym z ładniejszych w łódzkim getcie. Z jego okien rozciągał się widok na pobliskie pola, stojące w ogródkach domki Marysina, a jeszcze dalej widać było cmentarz z kopułą mauzoleum. Z okna można było również zobaczyć centrum Bałut z charakterystycznymi dla niego go jedno lub dwupiętrowymi domami ogrodzonymi płotem; rozpadające się ze starości chałupy. Cały ten widok ograniczały tyły posesji stojących przy ul. Zgierskiej oraz domy, w których mieściły się biura i magazyny starosty getta.

Dom, w którym mieszkał Grynsztajn miał trzy piętra i stał samotnie, był jakby

magnatem wśród bałuckich budowli, a trzypokojowe mieszkanie Izera posiadało również łazienkę.

Do niedawna Izer Grynsztajn miał tylko dwa pokoje; trzeci oddzielony zamaskowanymi drzwiami zajmowała rodzina, która wymarła na tyfus plamisty.

Któregoś dnia Ida Grynsztajnowa powiedziała do męża:

— Ten sąsiedni pokój przydałby się dla Hedy. Skończyła przecież siedemnaście lat i jest panną na wydaniu. Od dawna chodzi z Chęnkim Wieniawskim i pewnie będą chcieli się poobrać. Zresztą jest ładna i każdy odwraca na nią głowę bez względu na to, że to twoja córka. Kiedyś sąsied-

Belchatowem węgla! Wprawdzie nie czarny, nie kamienny, ale brązowy, w którym jednak można budować nadzieje, trwale nadzieje, to coś konkretnego, namacalnego. Bo cóż — mówiono — po orderze, jeśli garnitur wytarły. Ten order i ten garnitur miały znaczenie weale adekwatnego do rzeczywistości symbolu. Ale skoro jest węgiel...

Faktem jest, że od momentu „wybuchu” belchatowskiego węgla — mieszkańcy miasta i terenów węglowej niecki stali się chyba najbardziej uważnymi czytelnikami gazet, słuchaczami radia, telewizorami. Wytawiają z tych środków informacji fakty i liczby dotyczące tego „co będzie”, stawiają to naprzeciw swym wyobrażeniom i emokują — jedni z zachwytem, drudzy ze zdumieniem.

Perspektywy, które — jakby ich nie brał — są dla Belchatowa obiecujące, powodują jedno: oczekiwanie, WIELKIE OCZEKIWANIE. Czeka miasto, czeka w nim ludzie. Zresztą czy tylko belchatowianie?

Podczas ostatniego pobytu w Belchatowie byłem świadkiem dosyć zabawnego w swej istocie przypadku: do gabinetu sekretarza KP partii — Henryka Tarki — wparowało — ni stąd ni zowąd kilku inżynierów czeskosłowackiej Huty im. B. Bieruta. Chcieli, by zatrudniono ich przy budowie belchatowskiego kombinatu. I to zaraz...

Ten przypadek nie jest zresztą pierwszy. Ludzi zgłaszających się do wydziału zatrudnienia jest sporo, notuje się ich skrzętnie i rosą pilki kartotek z nazwiskami przyszłych budowniczych.

Zresztą sam Belchatów bardzo żyje przyszłością, niż teraźniejszością, ta przyszłość, którą tu szanują wszyscy, wyłazi w każdym calu — obojętne — dużej, czy małej sprawy.

Moja piętnastominutowa znajomość z „Jubileuszowej” (tak restauracja, to dorobek okresu piastowania powiatowych godności), chłopak bystry, któremu przyszedł czas się w oczach.

I ja i setki innych w moim wieku czekamy na Bel-

chatów. Przez budowę kombinatu duże nadzieje rokuje sobie państwo, ale chyba nie mniejsze i ludzie tu mieszkający. Tu nie tylko chodzi o pracę, o zarobkowanie, więcej o życie w zmienionych warunkach. Wiem, powie pan: „a to, a tamto, które zrobiono...” To widać.

A potem z Innej beczki: — Był pan ostatnio w kinie? — Potakuję na wszelki wypadek, bo tak po prawdzie nie wiem dokąd zmierzam. Spojrzałem na jego nie dojedzoną galaretkę, mocno zakropioną octem. Już wiem: gorycz, kwas...

— Ta kronika, którą pan obejrzał wczoraj, do mnie dotrze dopiero za dwa, czasem i trzy tygodnie. A o filmach, to już weale nie warto. Co poza tym?

W tym „co poza tym” mieszał się największy ładunek „octu”. Patrz jak zabiera przeciwdeszczowy płaszcz, wełska podobnej do góry przerośniętego ciasta kelnerec bilon i znika w drzwiach.

Teraz mnie napadają myśli, dla których szukam podobno w konkretnych. Przecież lazę po tym mieście tyle czasu, oglądam, rozpytuje na lewo i prawo ludzi, czynniki co tu znaczące, dowiaduję się o „rzeczach i sprawach”, więc powinienem mieć jakiś obiektywny sąd. Właśnie sąd.

* * *

Anekdota, mniejsza czy banalna, którą zasłyszałem, w którymś z wydziałów belchatowskiej Powiatowej Rady:

Na piotrkowskim dworcu PKS spotyka się dwóch dawnych przyjaciół.

— Cześć, co słychać? — pyta jeden.

— Leć.

— Jedziesz gdzieś?

— Do pracy.

— Gdzie pracujesz?

— W najodleglejszej dzielnicy Piotrkowa — Belchatowie!

Anekdota odnosi się do pierwocin Belchatowa — powiatu. Wtedy to w ankietach personalnych dziewięćdziesięciu procent pracowników administracji nowo zorganizowanej Powiatowej Rady Narodowej, w rubryce „miejsce zamieszkania” było napisane: Piotrków. Ten konieczny, w początkowym okresie import urzędników, a nawet władz stopniowo się kurczył i dziś długo trzeba rozpytywać, nim znajdziesz tu człowieka dojeżdżającego. — Stabilizacja. Może jeszcze nie pełna, nie powszechna.

Od tamtych, początkowych dni minęło już siedem lat. Co

tu dużo gadać — Belchatów, jako siedziba powiatowego urzędu, obrócił solidnie w krzepę i dziś bierze się za bary z losem, który poza prezentem w postaci awansu i węgla, różne tu pozostawia ślady.

Belchatowscy statystycy szykują pióra na wpisanie do odpowiednich formularzy ośmiu-tysięcznego obywatela miasta. Jego nazwisko ma się pojawić jeszcze w tym kwartale. Z tych ośmiu tysięcy duża część zatrudniają Belchatowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego (stan zatrudnienia „ociera” się o liczbę trzech tysięcy), reszta ludzi w wieku produkcyjnym pracuje w

nasze tysiące złotych w skali rocznej na zakup nowych książek, dwustu siedemdziesięciu pięciu czytelników — brak etatu bibliotekarza, o który wojna toczy się od dłuższego czasu, choć etat powinien być, bo ódnosne przepisy wyraźnie precyzują: etat już przy dwóch tysiącach woluminów. Choćby dalej dokształcanie — pomimo organizowania różnych kursów, szkoleń — ponad czterysta osób z załogi nie ma podstawowego wykształcenia, lwia część z tych czterech setek, to młodzież!

Zarówno jedna, jak i druga sprawa są z rzędu tych, które może i nie najważniejsze

mówi się najczęściej, darując paradoksy, jednak nie najchętniej.

Miasto, które awansowało, którego czeka jeszcze jedna wysoka nominacja z powodu odkrytego węgla, przez siedem lat tała dziury w lichych szafach, którymi odziana jest tu KULTURA.

Najpierw trzeba było kręcić entuzjazm, by doprowadzić do adaptacji sali straży pożarnej na pomieszczenie nie uwilczające siedzibę powiatu. Do dziś w zupełnie przeobrobionej sali gości, cztery razy w tygodniu, X Muza, która prezentuje belchatowskim widzom repertuar przeważnie już „archiwalny”. O pozostałe dni wykorzystania sali walka trwa niemal co tydzień.

Nie ma więc w Belchatowie domu kultury, ani jego namiastki, nie ma też „niezłoty” świetlicy. Życie towarzyskie, rozrywki? — Kawa lub herbata, jeszcze brydż, rzadziej kieliszek w seenerii radia, telewizora, w gronie ciagle tych samych osób — konfidencjonalnych znajomości z biura, fabryki, tego samego domu. Bardzo rzadko spotkanie w „Jubileuszowej”, przy kawie, obiedzie...

Jest jednakże na to pewne remedium. I tu wracamy do zakładu. Przy ulicy Kosciuszki, zaraz za „rezydencją” KP ZMS znajduje się IV oddział BZPB, przeznaczony do likwidacji. Pomysł, którego realizacja mogłaby Belchatowowi, całej jego społeczności przynieść w sukurs w skomplikowanych sprawach kultury: adaptować pomieszczenia oddziału, urządzać w nich klub, zakładowy dom kultury, świetlicę (czort z nazwą), gdzie spotykać by się mogli nie tylko pracownicy zakładu. Gdyby dobrze pomysł — znalazłoby się także miejsce na ścieśnione dotychczas książki.

Postanowiono, to dość dawno. Gorzej z realizacją. Choć to sprawa diablo pilna (dotychczasowa świetlica BZPB znajduje się w budynku zakładowej straży pożarnej, czemu przeciwnie są przepisy bezpieczeństwa, znajduje się na terenie zakładu, wstęp więc do niej jest trochę kłopotliwy), jej odwołanie jest już zjawiskiem.

Wobec takiego statusu, rozruszania ostatnio ZMS, próbował zrobić coś we własnym zakresie. W ciasnej siedzibie KP urządził, przy wydatnej pomocy powiatowego resortu kultury, małą klubową kawiarenkę, która spotkała

się z entuzjastycznym przyjęciem młodzieży. To już coś, chociaż mało.

Te sprawy belchatowskiej kultury są tak wyraźnie spójrzegalne na miejscowym bruku, że nie sposób było ich nie pokazać.

Ale przecież Belchatów przez te siedem lat „powiatowania” (spodobało mi się to określenie w ustach kobiety z podbelchatowskiej wsi: „powiatują, powiatują już tyle lat, a sprawę trudno z nimi załatwić”) nie stał w miejscu. Zmian łatwo dostrzeganych, korzystnych zmian tu sporo. Zmieniły się stosunki, pozmienniali się ludzie, a któż powie, że to nieważne, nie istotne! O, choćby malenki, „sociojologiczny” rys: kiedy przedtem podbelchatowski chłop wybierał się na targ, mówił: „do Belchatowa jadem”, dziś najczęściej słowa — „do Belchatowa” zastępowane bywają słowami „do miasta”. — Sens, jakoweś niemiernie różne tony tych dwu określeń, najlepiej rozumieją tylko rodowici belchatowianie.

Przekształcanie się miasta rozumianego administracyjnie w miasto bez tego przymiotnika odbywa się w dalszym ciągu. Brakuje przecież wielu instytucji, które znajdują się w porządku (aż boję się użyć tego zwrotu) powiecie (PKO, prokuratura, oddział NBP, szpital i inne). Z usługami nie jest najlepiej (działa, i to jak! nielegalne rzemieślnictwo), sied sklepów weale nie zachwyca (przy okazji: trzeba by coś zrobić z wielkością wystaw), gospodarce komunalnej zdobły się wsparcie (nawierzeźnie, kanalizacja, latnia).

Jednak to „nie stanie w miejscu” można spojrzeć przede wszystkim, gdy się choć trochę pochodzi po belchatowskich ulicach. Poza rozbudową fabryki przybył weale „przyszły” budynek Powiatowej Rady, w nowym sporym osiedlu mieszkaniowym „zainstalowało” się sporo ludzi, do tego kilka bloków w sąsiedztwie fabryki, liczący nareszcie rozproszali kości po uprzedniej ciasności ucają się teraz w pachnącym jeszcze świeżością budynku, nowa restauracja, w budowie jest piękny ośrodek zdrowia, w planach zaś...

O, to już przede wszystkim sprawa odkrytego węgla, kombinatu, nadziei, która przynosi stamtąd — spod kiedyś ubogiej, a dziś bogatej belchatowskiej ziemi.

ZDZISŁAW KACZMAREK

NADZIEJE SPÓD ZIEMI

Spółdzielni „Czyn Majowy”, a dalej w urzędach powiatowej administracji, przedsiębiorstwach handlowych, takich, jak PZGS, PSS. Zrozumiałe, że w sytuacji, kiedy w Belchatowie jest tylko jeden „po ważny” zakład produkcyjny, większość spraw oświadcza między innymi a miastem. Zakład jest w centrum uwagi nie tylko władz...

Ongi „kawalek” przemysłu rozlokowanego w kilku małych oddziałach, rozszanego jak Belchatów długi i szeroki — dziś, dzięki poważnej rozbudowie (nowe hale produkcyjne, adaptacja starych pomieszczeń) — produkcja „pełna gęba”. A przecież to nie koniec rozbudowy — trwa ona w dalszym ciągu. A że wiadomo — i porządnie gospodni w okresie remontu zdarzy się zapomnieć o obiedzie, więc i tu, w zakładzie znaleźć można i kilka spraw „puszczonek”.

Oi, choćby biblioteka — ponad trzy tysiące tomów, pięć-

w produkcyjnym przeciw zakładzie, ale jakże ważne, jak istotne! Bo bliżej: funkcje bibliotekarza sprawuje kierownik świetlicy, który prowadzi kilka zespołów artystycznych w „lichych” warunkach, ma tyle pracy, że nie starcza mu czasu na werbowanie nowych czytelników, ba, nie ma czasu na kupno nowości książkowych; te kupuje się seriami: miejscowa księgarnia zbiera ukazujące się nowości i kiedy zgromadzi paczkę wartości dwóch, trzech tysięcy złotych zawiadamia zakład, a wtedy ktoś wpadnie i podrzuci tę paczkę do zakładu. A dokształcanie? Argumentów za jego koniecznością przytaczać nie trzeba.

„Ale jest jedna sprawa, która przestała być już wewnętrzną, zakładową, wyszła na miasto i tu spotyka się z najróżniejszymi komentarzami, najczęściej negatywnymi. Dotyczy ona kultury, tego więc o czym w Belchatowie

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963



HENRYK DEBICH

czasem w ramach tej muzyki mieszczą się utwory bardzo różnej wartości, czasem utwory mistrzowskie. Kompozytor, których zarówno myśl muzyczna jak i techniczna, jej przeprowadzenie, zasługują na uwagę. Dziś, gdy obserwujemy takie pomieszanie gatunków, artystycznej rangi nabierają i w muzyce pewne osiągnięcia z zakresu choćby muzyki jazzowej, tak do niedawna jeszcze deprecjonowanej.

Henryk Debich, wychowanek Łódzkiego Konserwatorium ukończył klasę teorii kompozycji i dyrygentury. Jest uczniem znakomitego dyrygenta Wodźczki i znanego kompozytora i dyrygenta Tomasza Kiesewettera. Przez jakiś czas jako stypendysta uzupełniał muzyczne studia w Berlinie i Monachium. Rodem z Pabianic, od wielu lat mieszkaniec Łodzi, jest znany radiosłuchaczom w całej Polsce.

„Zacząłem pracować w radio — mówi — jeszcze jako student Konserwatorium. Mie czystaw Drobner zaproponował mi w 1949 roku kierownictwo działu muzyki rozrywkowej po Franciszce Leszczyńskiej. Z Rozgłośnią zetknąłem się po raz pierwszy przed wojną. Mój ojciec był kapelmistrzem i kiedyś zastępując go dyrygowałem, — rozgłośnia mieściła się jeszcze wtedy na Radwańskiej — chórem amatorskim”.

Kiedy Henryk Debich rozpoczął pracę nie istniała jeszcze orkiestra radiowa. Została ona zorganizowana przez Drobnera i Debicha. Jej

pierwszym dyrygentem był Tarski Liczyła wtedy 18 osób. W 1950 roku przyznano stały etat dla członków orkiestry, a tym samym Łódź otrzymała jeszcze jeden poza zespołem Filharmonii regularnie pracujący zespół orkiestrowy. W 1951 roku Debich obejmując kierownictwo artystyczne Orkiestry Radiowej i od tej chwili datuje się jej systematyczny rozwój. Dziś 50-osobowy zespół, z którego większość to wychowankowie łódzkiego Konserwatorium ma na swym koncie szereg osiągnięć artystycznych i znany jest nie tylko na antenie Polskiego Radia.



„Orkiestra pracuje codziennie. W radiowym studio odbywają się próby i nagrania. Poza kolegą Gzela i mną orkiestrę prowadzi dyrygent, których specjalnie do Polski zapraszamy. Nagrywają oni z naszą orkiestrą szereg utworów kompozytorów wspaniałych i szereg utworów

kompozytorów polskich. Wyjeżdżając zabierają ze sobą nagrania, które potem wykorzystywane są w programach obcych radiostacji. Ostatnio był u nas dyrygent czeski Iriř Hudec, którego występ w Filharmonii zainaugurował tegoroczny sezon muzyczny orkiestry Polskiego Radia”.

Debich współpracuje stale z orkiestrą w Brnie i orkiestrą Deutschland Sender. Za granicą nagral około 200 minut muzyki polskiej.

„Kontakty z obcymi radiostacjami — mówi — ogromnie popularyzują naszą muzykę poza granicami Polski. Dzięki wymianie między rozgłośniami, koncerty nagrane przez naszą orkiestrę znajdują się w programach radiowych wielu państw, w pierwszym rzędzie oczywiście, w programach radiowych krajów demokracji”.

„Istnieje ogromna luka — mówi Henryk Debich — między muzyką symfoniczną, a muzyką taneczną, którą w pełni powinny utwory nie sprawiające słuchaczowi zbyt dużych trudności. Utwory, które wprowadzałyby go w pewne zagadnienia muzyczne, dając mu przedsmak spraw wielkich, rozgrywających się w najświetniejszych utworach koncertowych. Mówię o tej muzyce, nie myślę o utworach łatwostrawnych, czy ulatwionych, mam na myśli utwory, które nie są wprawdzie wykonywane na wielkich estradach symfonicznych, jak uwertury operowe, czy miniatury symfoniczne, ale mogą być załączone do dobrej literatury muzycznej. Warto tu dodać, że próg trudności utworu wyznacza poza oczywiście stopniem przygotowania słuchacza i stopień popularności utworu. Świadczy o tym najlepiej muzyka Czajkowskiego, utwory Griega, czy Prokofiewa, wykonywane w ramach koncertów rozrywkowych”.

„Tego typu orkiestra, co orkiestra radiowa spełnia rolę popularyzatorską muzyki,

stąd taka rozpiętość repertuaru od utworów symfonicznych do big-beatu. Układam program koncertu zawsze tak, by część pierwsza prezentowała utwory ambitniejsze, coś z literatury klasycznej i coś z współczesnej muzyki. Myślę zawsze o atrakcyjności koncertu. Dziś, gdy środki przekazu dźwięku są tak udogodnione, ludzie chcą słuchać muzyki w najlepszym wykonaniu. Dlatego staram się angażować zawsze najlepszych solistów”.

„Miesięcznie orkiestra radiowa — mówi Debich — nagrywa 100—120 minut muzyki. Proszę pamiętać, że utwory trwają zwykle 3—5 minut. Oczywiście dominują utwory polskie. Mamy stały kontakt z niektórymi kompozytorami, jak z Henrykiem Czyżem, czy żeby wymienić łódzkich: Kiesewetterem, Mroszczykiem, Krzemińskim. Ale ciągle szukamy autorów, nowych kompozycji”.

„Nagrałem niedawno dwie wolnogrące płyty stereofoniczne, z orkiestrą Filharmonii Narodowej. Jedną z nich to 30 minut pieśni neopolskich z Raptisem, teraz opracowuję pieśni Niemirowskiego i Moniuszki dla Alfreda Ordy. Poza zwykłą pracą dyrygentką, koncertami (prowadziłem prawie wszystkie orkiestry symfoniczne w kraju) poza nagraniami i zwykłą pracą z

orkiestrą w Radio sam instrumentuję i aranżuję niektóre utwory. Nawet wyjeżdżając z Łodzi wożę ze sobą partytury. Oczywiście, przeglądając całą masę kompozycji i starych, i nowych, układam programy — to moje zwykłe zajęcia. Sposoby techniczne, specjalne filtry, mikrofony, dają ogromne możliwości dźwiękowe, które we współczesnych nagraniach decydują o ich wartości. To jakiegoś czasu w naszym studio dokonujemy takich trików w nagraniach. Efekty tych prac znają słuchacze radiowi”.

„W Łodzi nie ma ani wozu transmisyjnego, ani też nikt nie pomyślał o założeniu odpowiednich instalacji w sali Filharmonii. Ostatnio z Filharmonii Narodowej dawaliśmy koncert dla telewizorów, byłoby nam oczywiście miłej, gdyby takie koncerty można było nadawać z Ośrodka Łódzkiego. Miejmy nadzieję, że odpowiednie władze ten tak ważny problem dla rozwoju kultury naszego miasta jakoś rozwiążą. Zyski łatwo obliczyć”.

„Orkiestra Radiowa otrzymała propozycję wykonania operetki Szymanowskiego, „Loteria na męzów”, bo autor „Stabat Mater” utwór tak kiedyś napisał, na Festiwalu Muzyki Polskiej w Bydgoszczy. Ale to dopiero plany przyszłościowe”.



„DALEKA JEST DROGA”

Film Bohdana Poręby „Daleka jest droga” znakomicie (niestety!) ilustruje pewne niedomogi polskiej kinematografii, o których wielokrotnie wspominaliśmy. Pojmując problem dziś już historyczny, Poręba wraz ze scenarzystą Wejrochem, porzucili na opowiadaniu fabuły, ze z góry wiadomym morałem, fabuły reasumującej cały obiegowy zasób wiedzy o temacie, doskonale znanym widzowi, (łącznie ze „wstrząsającą” sceną odjazdu czołgów, „fraternizacja” itd.) nie nie dodając, nie broń Boże nie pogłębiając. Oto więc jeszcze jeden film pod popularnym w kręgu naszej X Muzy zawołaniem: „Znacie to? Znamy. No to posłuchajcie”.

Autorzy filmu zaprezentowali tzw. bogaty wachlarz postaw, sprowadzający się do wkładania w usta różnych postaci, różnych, skądinąd znanych zdań, czyniąc to widocznym w obawie przed zarzutem, że mogliby cośkolwiek pominać. W wyniku tego nieskomplikowanego zabiegu zrodziły się postaci bohaterów filmu na czele z tzw. głównym bohaterem czyli por. Włodarczykiem. Istnieje wprawdzie pewna zasadnicza sprzeczność między pośrednią („rewolucyjny” „buntowniczy”, „intelektualista”), a bezpośrednią prezentacją porucznika, ale nad tym jak widać autorzy łatwo przeszli do porządku dziennego. Włodarczyk nie jest więc ani człowiekiem rozdzieranym jakimś wątpliwościami natury ideologicznej czy uczuciowej (miłość do Angielki), mającym jakiejś przekonania względnie opory, ale tworem absolutnie amorficznym, sumą kwestii dialogowych, wygłaszanych w rozmaitych sytuacjach przewidzianych scenariuszem. Kwestii co prawda chwilami efektywnych, ale za to tak banalnych, że aż bezsensownych. Całą sprawę grzebie do reszty zgrywający się nies-

racznie od ujęcia i sposobu potraktowania. Nie wolno jednak robić filmów które byłyby rozpisane na głosy i opatrzone obrazkami, felietonami. Bo trudno tu nawet mówić o publicystyce, biorąc pod uwagę obiegową i truistyczną wartość zawartego w filmie materiału.

Filmowi Poręby brak jest zarówno pogłębiającego spojrzenia z perspektywy historii, jak i wczucia się w prawdziwą atmosferę tamtych czasów. Dlatego w martwym klimacie filmu ekliwie i banalnie wypadają te epizody, które w opowiadaniach Pruszyńskiego wydawały się piękne i wzruszające. U Pruszyńskiego dominowała bowiem beznamiętna reakcja emocjonalna na sprawy aktualne i bliskie pisarzowi. Przeniesione natomiast w zupełnie inny kontekst czasowy te właśnie emocjonalne reakcje mają największą skłonność do starzenia się i popadania w banał. Tęgo banału jest w filmie stanowczo za dużo. Od wiatraka wskazującego nieomylnie iż dramat rozgrywa się na terenie Holandii i zabawy z zapalniczką aż do hejnału z Wieży Mariackiej i sceny finałowej pomijając już karygodne dialogi.

Dla większej sławy, chcąc zapewne uchnąć nieco rumieńców życia w bezbarwną reżyserię, Poręba ozdobił swe dzieło kilkoma nader efektownymi popisami np. sekwencja uczy zwycięstwa i następującej po niej strzelaniny w lesie. O ile pierwsza jest nieznośna i co gorsza wtórna, o tyle druga, acz nie przemysłana do końca wywołuje rzeczywiście pewien efekt.

„Daleka jest droga” stanowi świetny przykład na potwierdzenie tego, iż nie można robić filmu II tylko ilustrującego jakiś problem i to w dodatku z pozycji płytkiego wszystkoizmu. Pomijam już sprawę aktualności problemu poruszanego w filmie Poręby. Aktualność zależy bowiem w znacznej mie-

miejszanka
FILMOWA



Fotos z filmu „Daleka jest droga”

TAKTY I NIETAKTY

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

SŁABY KRYPTONIM

Najtrudniej chyba pisać o filmie, który wbrew wywiadowi prasowemu udzielanym przez autorów („Film” nr 1, z 6.1.69), po prostu jest utworem zenująco słabym. Reżyser tego filmu Leon Jeannot debiutujący w filmie fabularnym oświadczył: „Kryptonim Nektar” będzie komedią kryminalną z wątkiem lirycznym. Historia, o której opowie film dotyczy spraw mocno osadzonych w naszej rzeczywistości. Postacie historyczne – to dodatkowe atrakcje...” itd., itd. Dziwnie brzmiało już wtedy, kiedy film ten wchodził do produkcji, owo usprawiedliwienie się przyszłego reżysera, nagłanie i uprzedzenie ewentualnego widza do szukania „spraw mocno osadzonych w naszej rzeczywistości”. Wątpię czy udział kilku aktorów w mundurach MO, szylid Wytówni Filmów Fabularnych we Wrocławiu, trochę zwykłego bałaganu na planie filmowym w atelier, jak również brak napojów chłodzących w okresie kanki, stanowi o „mocnym osadzeniu spraw w naszej rzeczywistości”. Film ma być „komedią kryminalną z wątkiem lirycznym”. Niewątpliwie można tak określić „Kryptonim Nektar”. Z drugiej strony nasuwają się poważne wątpliwości, tak do

scenariusza, jak i jego realizacji. Sytuacje komediowe, gagi, wymyślone w scenariuszu przez reżysera filmu i przy pomocy Edmunda Niżurskiego są nie tylko mocno stare, (wilk i las, scena u dentysty), ale do tego bardzo źle odgrzane.

Słabość scenariusza, który jest niejako workiem z powrzuconymi gąkami z różnych komedii i tych najstarszych, starszych i bardzo młodych, to jeszcze nie stanowi najslabszej strony „Kryptonimu Nektar”. Największe zastrzeżenia budzi sama realizacja filmowa, rozciąganie epizodów, sytuacji do tego stopnia, że wiele dowcipów umiera po prostu śmiercią naturalną z powodu zbyt powolnej i nudnej interpretacji (scena z play-backiem arki Jontka). Toteż czasami z podziwem patrzy się na Bogumiła Kobiela i Jarema Stępowskiego, którzy niejednokrotnie, choć z małym skutkiem dla całego filmu, ratują niektóre sytuacje i wnoszą wiele własnego humoru i dowcipu. Wartości aktorstwa Kobieli i Stępowskiego nie mogą być jednak usprawiedliwieniem filmu, który stał się jeszcze jednym niewypałem. Szkoda, że nie jednym w ostatnim czasie w polskiej kinematografii.

W ubiegłym tygodniu najważniejszym punktem – gwóźdźmiem – programu telewizyjnego był Dziennik TV. Dlaczego? – Prosta odpowiedź: ponieważ najważniejszym wydarzeniem ostatniego tygodnia w Polsce była wizyta „kosmicznego rodzeństwa”, radzieckich kosmonautów – Walentyna Tierszckowej i Walerego Bykowskiego, zaś szczytowej relacji z ich pobytu dostarczał „na poczekaniu” własnie Dziennik Telewizyjny.

Uderzył mnie jednakże w tych telewizyjnych relacjach Dziennika pewien szczególny drobiazg. O jaki „drobiazg” chodzi? Mianowicie o to, że relacje z pobytu kosmonautów w Łodzi i w województwie łódzkim prowadził w Dzienniku (po specjalnym połączeniu się z naszym miastem) redaktor Jerzy Tepli. Redaktor Jerzy Tepli przyjechał więc specjalnie z Warszawy do Łodzi „tylko” po to, aby odczytać pod zdjęciami filmowe komentarz, omawiający pobyt kosmonautów w naszym mieście. Czyżby w naszym Ośrodku Telewizyjnym nie zna-

lazł się niki ani kompetentny ani też godny do wygłoszenia parominutowego komentarza – z kariki? Rzeczywiście, troska redakcji warszawskiego Dziennika wzruszająca.

Obserwowałem pilnie, czy w analogiczny sposób zostaną potraktowane Katowice, skąd również relacjonowano w Dzienniku pobyt kosmonautów. Ale nie. Nie podobnego się nie wydarzyło. Tylko więc Łódź została tak zaszczytnie wyróżniona. Winstując Warszawę „pomysłowych” redaktorów.

Poniedziałkowy Teatr TV sięgnął w ostatnim swoim przedstawieniu do sztuki Morstina – „Taniec księżniczki”. Spektakl reżyserował J. Dobrowolski, a wystąpiła w nim plejada znakomitości aktorów: Ciepłiewska, Szafarska, Perzanowska, Pak, Łazuka, Bogucki, Nowak. Wydać by się mogło, że te nazwiska zagwarantują telewizzowi wiadany wieczór teatralny. Niestety, takie gwarantowane z góry widowiska przynoszą z reguły duże rozczarowanie.

Aktorom zresztą niczego zarzucić nie można; główny zarzut za nieudane przedstawienie spada na reżysera, który nie umiał narzucić tempa; spektakl miał dłuższy, rwał się, w reżiserialce przyniósł poważną porcję nudy. Szkoda, że z bogatej twórczości znakomitego dramaturga wybrano właśnie te, nie najciekawszą wcale, pozycję.

Z najwyższym zadowoleniem natomiast należy odnotować magazyn publicystyki gospodarczej „Kontury”, ciekawy, żywy, prowadzony z inwencją, jak zwykle zajmujący się aktualną problematyką gospodarczą. Również z dużym zadowoleniem oglądałem kolejny, pasjonujący program Grzegorza Lasoty z cyklu „Portrety”. Co prawda, w tym programie rola Lasoty ograniczyła się do słowa wstępnego, znakomitej reszty dopełnił film o Van Gogh'u nie ulega jednak wątpliwości, że w telewizyjnych programach z dziedziny sztuki, literatury i kultury Grzegorz Lasota stał się postacią czołową, inicjatorem najbardziej wartościowych pozycji.

Natomiast zdecydowanie przykra niespodzianką sprawił rozrywkowy magazyn „Miks”, który do tej pory posiadał jedną z bardziej chlubnych tradycji w tym trudnym zakresie sztuki telewizyjnej, jakim jest wciąż rozrywka. „Miks” zaprezentował bardzo słabutkie i płytkie teksty, szczególnie tzw. „wiadomości” – typ satyry wziętej żywcem z radiowych podwieczorków przy mikrofonie – plagiat dosłowny, który pozostawia wiele do życzenia, po pierwsze dlatego, że jest plagiatem nieudany, po drugie, że jest w dodatku plagiatem dokonywanym na pośledniejszym gatunku satyrycznym. Kolejną wadą „Miksa” jest to, że nieodmiennie bazuje on na wielokrotnie wykorzystywanych gagach. Zauważyłem też pewną niedobrą manierę u niektórych jego aktorów, lapidarnie nazywa się ją „zgrywa-

niem”. W ostatnim „Miksie” zgrzywała się Alina Janowska, zgrzywał się Wiesław Golas, a przede wszystkim zaś, Leśniak. Leśniak spełnia w „Miksie” rolę cyrkowego clowna – a jak wiadomo, ta rola nie zawsze jest w najlepszym stylu i nie zawsze jest „najpełniejsza” artystycznie. Przykro było również patrzeć na Kalinę Jędrusiak. Ta na pewno świetna aktorka wyspecjalizowała się w przybieraniu póz super – wampa, co w zestawieniu z jej mocno infantylnym – sentymentalnym głosem sprawia wrażenie wręcz niesmacznego.

Zupełnie już kompromitującym widowiskiem była audycja rozrywkowa nadana z Katowic (27. X) – „Kompozytor i jego piosenki”. Jerzy Harald – gdyż jego piosenek słuchaliśmy (notabene nie najszybszeliwiej wybranych) – jest niewątpliwie popularnym kompozytorem. Lecz na pewno nie jest błyskotliwym rozmówcą. Autorzy programu katowickiego, pragnąc uatrakcyjnić swoją audycję, wprowadzili do niej błyskawiczne wywiady z Haraldem przed każdą prezentowaną piosenką. Para „reporterów” dwoiła się i troiła, aby tym rozmówcom nadać polot i dowcip, jednak para tych reporterów (łącznie z autorem „rozmówek”) nie grzeszyła ani polotem ani dowcipem. W rezultacie więc wysłuchaliśmy „wywiadów” na takim poziomie, którego ze względów kurioznych nie będę tu określać bliżej. A oto próbka: – „czy Pan lubi kokciaki?” – i odpowiedź: „tak, bardzo, ale nie lubię, kiedy chrapią!” (?) Pogratulować wyrafinowanego poczucia humoru. Komentarz? Zbyteczny!

KOWALSKI



TURYSTO, przejrzyj oczy!

Listopad w naszym kraju i dalej na wschód nie jest miesiącem przychylnym turystyce. Mimo że dzień mamy pogodny, srebrnym połyskuje słońce, wilgotnie jarosławska szosa. Na którymś kilometrze od Moskwy samochody wpadają w nisną, skłębioną mgłę tak gęstą, że traci swój, ostrość światła reflektorów, szybkość trzeba zwolnić do minimum, ledwie co widać. Taka jakaś błotnista okolica, pożyłowana wodami, towarzyszy pewnemu odcinkowi drogi.

Jedziemy do oddalonej o 70 km słynnej Troicko-Siergiejewskiej Lawry, prawosławnego klasztoru i jednocześnie twierdzy z XIV wieku w Zagorsku.

Miasteczko jak miasteczko. Ale już z dala, nawet w tym mało przejrzystym powietrzu zarysowują się, górujące nad otoczeniem mury i budowle Lawry, wzniesionej na wzgórzu, z dwóch stron strzeżonej przez głębokie parowy rzeczułki.

Po przejściu bramy turysty od razu wkracają w świat przeszłości, przyglądają się ze zdziwieniem wspaniałej architektury. Biel, zieleń, złoto i lazuryt

tworzą szlachetne zestawienia. Żywo przemawiająca ornamentyka przypomina i wpływy muzułmańskie. Cerkiewki i cerkwie, dzwonnica o wysokości około 87 m, pałac metropolity, refektarz, wieże i wieżyczki na różnych poziomach.

Gałęzie bezlistnych drzew tworzą siatki, przez które migoce bizantyjsko-cerkiewne piękno. To podziwia się natchnione przeladowanie rozmaitych elementów dekoracyjnych, to urzekająca prostota.

Wszędzie dużo gołębi. Są nawet bardziej ośmielone niż nasze. Siadają niektórym babulinkom w chustkach na ramiona i na głowy, wydziobują okruszki bułki czy chleba z ust.

Część zespołu zabudowań to muzeum-rezerwat, a część należy do duchowieństwa, w Zagorsku znajduje się prawosławne seminarium. Mimo dnia powszedniego, w jednej z cerkwi odprawia się właśnie nabożeństwo w obecności dosyć dużej liczby wiernych.

Z klasztorem i twierdzą związane są nie tylko dzieje religijne, ale także i walki. Wystarczy przypomnieć, że Lawra była w ciągu 16

miesiący oblegana przez wojska polsko-litewskie pod Sapięgą w okresie wielkiej wyprawy hetmana Zółkiewskiego na Moskwę.

Tu ukrywał się przed buntownikami Piotr I. Obok Uspieńskiego soboru znajduje się grobowiec Borysa Godunowa i jego rodziny. Jakies szczególniejsze refleksje historyczne nie nasuwają się jednak zwiedzającemu, wpada się bowiem w sidła uroku raczej poetyckiego.

Nie muszę nawet dodawać, że na całość zespołu składają się budowle z różnych okresów. Ich skomplikowane dzieje należą do specjalistów.

Zastanawia zwiedzającego pewien fakt o swoistej wymowie. Oto skąd Lenin na wszystkie znajdował czas i o wszystkim chciał pamiętać? Wiemy przecież doskonale, że burliwy okres rewolucyjny i porowolucyjny nie sprzyjał ocaleniu pamiątek przeszłości. Bą, spotykaliśmy się nawet wśród intelektualistów i poetów z tendencjami do odcięcia się całkowitego — w praktyce niemożliwego! — od spadku w literaturze i sztukach. Ale



Refektarz — projekt restauracji.

jeszcze 20 kwietnia 1920 roku ukazał się dekret Rady Komisarzy Ludowych z podpisem właśnie W. I. Lenina o utworzeniu z Troicko-Siergiejewskiej Lawry wielkiego muzeum.

W salach ściśle muzealnych zgromadzono niezliczoną ilość obrazów, ikon iskrzących się szlachetnymi blachami lub tylko „okładów”, złotych i srebrnych okrytych malunków na ikonach. Nie tylko na Kremlu w Moskwie, ale i tutaj można także podziwiać wspaniałego Andrieja Rublowa lub jego uczniów.

Oglądamy przedmioty liturgiczne i meble; wyszywane perłami aksamiitne mitry archimandrytów i okazy broni; stroje i narzędzia, a nawet drewniane szkatułki i zabawki z czasów najnowszych, wyraz artystycznych upodobań mieszkańców okolicznych wsi.

Zwiedzających dużo. Grupkom towarzyszą rutynowani przewodnicy. Zwiedzający zachowują się różnie, choć zawsze z szacunkiem. Niektórzy z nich nie zdejmują jednak nakryć głowy nawet w muzeach-swiątyniach. Nie zauważa się śladów idiotycznej skłonności do robienia napisów na ścianach „na pamiątkę pobytu”.

Niestety, niewiele miało się czasu na oglądanie tego, co wymaga skupienia i kilkakrotnych przynajmniej odwiedzin. Pozostają wrażenia, szczerze mówiąc, dość ogólne.

Cokolwiek jednak się zwiedza, widzi się troszkę o zażytki, o wartościowe pamiątki przeszłości. Troszkę nierzaz jakże kosztowną!

Kiedy indziej bowiem udało mi się odwiedzić dawne Carskie Sioło, po rewolucji Dietskoje Sioło, a obecnie po prostu Puszkini.

Jak poeta wygrywa u po-

tomności w walce o pamięć z jak najteższymi nawet głowami koronnymi! Do Puszkina przecież pojechalśmy właśnie ze względu na słynne Liceum, którego poeta był uczniem.

Hitlerowcy tę rezydencję zdewastowali w straszliwy sposób. Gdy się ogląda fotografie zniszczeń na ścianach w dużym stopniu odrestaurowanego już pałacu — przychodzi od razu na myśl okrutne dzieje naszych rodzimych zabytków.

Niebieszczęjąca ponowa, chrupka bo ścięta nieco mrozem, nadaje lekkości olbrzymim drzewom rozległego parku, powietrze zaś czyni przejrzystym. Rokokowy pałac B. Bastrellego stanowił aż do 1917 roku letnią rezydencję carów. Wiele ścian o wspaniałych stiukach, plafonach i parkietach doprowadzono do stanu sprzed wojny. Wróciły na swoje miejsca obrazy i gabloty, meble oraz manekiny, dźwigające ciężkie i kunsztowne stroje. Restauracja jednak trwa.

Ruch jak w naszym Wilanowie w niedzielę. Wśród licznych grup spotyka się i wycieczki cudzoziemskie.

Zatrzymałem się m. in. przed manekinem, ubranym w jeden z tysięcy zapewne strojów carycy Katarzyny. O, jakże obfite kształty musiała mieć dla swoich kochanków, ta dla nas arcynie-sympatyczna caryca!

Budynek Liceum reprezentuje sobą bez porównania skromniejszą pamiątkę. Ale wchodzi się do jego wnętrza nie przez zwykłą ludzką ciekawość, jak do pałacu. Wchodzi się ze wzruszeniem, żeby tutaj właśnie odświeżyć w swej pamięci tytelocro opisywaną scenę egzaminu młodzieńca o kędzierzawych włosach i wypukłych, niemal murzynskich wargach w obecności sędziwego Dierżawina.

CO w terenie?

15 października w nowo otwartym kinie Piotrkowa — HAWANA, odbyła się uroczysta inauguracja Dni Filmu Radzieckiego na terenie województwa łódzkiego. Tegoroczne Dni będą przebiegały pod znakiem dużej ilości różnorodnych imprez, mających na celu najwzschodniejszą upowszechnienie dorobku kinematografii radzieckiej. Przewiduje się m. in. organizację koncertów radzieckiej muzyki filmowej, szereg prelekcji i odczytów oraz rozpisanie konkursu pt. „Czy znasz filmy radzieckie?”. Widzowie województwa obejrzą najnowsze filmy Kraju Rad oraz wiele interesujących wzniewień.

„Dramat nowoczesny, jego początki, rozwój i perspektywy” — to temat referatu dr Stanisława Kaszyńskiego wygłoszonego na inauguracyjnym spotkaniu instruktorów teatralnych z terenu Łodzi i województwa, które odbyło się 25 października br. w Łódzkim Domu Kultury.



Przypominamy, że jeszcze trwa wielki Konkurs Współczesnej Sztuki Ludowej Ziemi Łódzkiej, ogłoszony z okazji XX-lecia PRL. W konkursie mogą wziąć udział wszyscy mieszkańcy naszego województwa, którzy: WYCINAJA wycinanki i inne ozdoby z papieru, bibuły i słomy, RZĘBIĄ w drewnie, glinie lub kamieniu, TRAJĄ z lnu, wełny lub innych surowców tkaniny samodzielnie na ubiory i przykręcają łódki, chodniki itp., HAFTUJĄ ręczniki, fartuchy, koszulki, czepeczki, kryzy, serwetki i inne, wykonują przedmioty obrzędowe, jak pisanki, turonie, gwiazdy, wózki dynusowe i inne, znane z tradycji na wsi, trudnią się GARNCARTWEM i wykonują naczynia gliniane, wazonny, misy, dwojaki, lepą figurki itp., zajmują się kowalstwem, stolarstwem i koszykarstwem oraz wszystkie inne wykonujące przedmioty znane z tradycji na wsi. Termin składania prac upływa 31 MARCA 1964 r. Gorąco zachęcamy!



Muzeum w Zagorsku.

JERZY WILMAŃSKI

Od dziesięciu bez mała lat tleję w owej karuzeli, której na imię praca kulturalno-oświatowa. Byłem świetlicowym w czasach ZMP-owskich, instruktorem dzielnicowym do spraw kultury, prelegentem, współpracowałem z wieloma klubami.

O ile mi wiadomo nikt nie prowadzi dokładnej statystyki tego typu pracowników. Szkoda. Okazałoby się bowiem że mnogość i niezwykłość zawodów ludzi wykonujących obowiązki instruktora KO jest niesłychanie rozległa. Nie słychana jest także płynność kadr.

Nieliczy tylko pracodawcy zatrudniający instruktora KO wiedzą jakie kryteria stosować. Opowiadał mi niedawno absolwent filologii polskiej, że personalna jednego z zakładów pracy powiedziała mu wczec: „Z wykształceniem filologicznym na instruktora KO? To zupełnie nieodpowiednie wykształcenie”.

Przepraszam — a jakie jest odpowiednie?

Tego nie wiedzą w większości wypadków pracodawcy, którym pojęcie „instruktora KO” kojarzy się przede wszystkim z pracą w zespole artystycznym, uświetniającym część artystyczną okoliczności ciałych akademii. Zgoda, to jest jedna z form (najbar-

dziej efektywna, najbardziej na pokaz) ale tylko jedna z wielu.

Miałem ostatnio okazję przez kilka miesięcy prowadzić w Międzyzakładowym Klubie Włókniarza Koło Miłośników Książki. Na cotygodniowych spotkaniach z młodzieżą rozmawialiśmy o wszystkim: o greckim teatrze i literaturze, o impresjonistach i kolekcjonerstwie, o prasie i łódzkim środowisku pisarskim. Wydało mi się, że była to dobra robota, choć efekty nie były widoczne na scenie. Ale urzędnicy od kultury odnoszą się do tego rodzaju cichej

pracy nieufnie. „Co to właściwie daje — mówią — o książkach im opowiadacie, to rola szkoły, a nie klubu”. Instruktora muzyki pytają nierzaz po miesiącu pracy, kiedy uczniowie będą mogli wystąpić i patrzeć nieufnie, jeśli ten tłumaczy, że nauka gry na akordeonie trwa trochę dłużej.

Nie potępiam urzędników. Rozumiem ich nawet. Oni muszą złożyć sprawozdania, w których każda instruktorska czynność ma swoją rubryczkę. A pojęcie kultury jest takie niesforne i wielostronne, że nie zawsze da się w rubryczkę wepchnąć. Osobiście największe zadowolenie odczuwałem kiedy, osią-

gnąłem to, że po skończonej pogadance młodzieńcy szarmancko ustępowali miejsca dziesięć w drzwiach wiodących do szatni. Działalność instruktora bardzo często składa się z takich fragmentów dobrej roboty, których w żadną sprawozdawczą całość złożyć się nie da. A urzędnicy się zdziwili i pytają: co wy właściwie robicie?

Dlatego po latach obserwacji uważam, że fundamentalną zasadą na jakiej przede wszystkim winna się opierać praca tego szeregowego pracownika kultury jest zaufanie. Zaufanie do jego umiejętności, do jego dobrej woli,

się płynność kadr, wtedy nie będzie wypadków (autentycznych), że wieloletni kierownik klubu zostaje instruktorem BHP, a wieloletni fryzjer kierownikiem Domu Kultury.

A przecież owa płynność kadr jest zmorem placówek kulturalno-oświatowych. W klubie, z którym ostatnio współpracowałem, w ciągu paru miesięcy zmieniło się pięciu instruktorów. Jak w takiej sytuacji prowadzić systematyczną działalność?

Nie bez winy są tu instytucje, które często zapatrzone w wąskie interesy własnego budżetu stosują nie

sugerowały zbyt czarnego obrazu, zastrzeżenie się trzeba kategorycznie, że jest coraz lepiej. Jeszcze parę lat temu kiedy nie istniały w radach narodowych referaty kultury, a instruktor do spraw kultury był jedynym pracownikiem tej branży w całej radzie, zdarzały się historie paradoksalne. Jeden instruktor przepisywał na maszynie jakieś wykazy, inny pomagał pracownikom wydziału administracyjnego przy reorganizacji działu itp.

Powtarzam — jest lepiej. Ale w dalszym ciągu instruktor nie może wywalczyć należytej rangi dla swego za-

ga pracujący w szkolnictwie. Ale to za zawód nauczyciela jest stabilny, stanowi o pozycji.

Myszę więc, że obok sprawy zaufania dla działalności instruktora, sprawa równie ważną jest uznanie powagi i społecznej przydatności tego zawodu. Dwa te zagadnienia łączą się zresztą ze sobą nierozdzielnie.

Rzecz najbardziej kłopotliwa, że powyższych uwag nie sposób opatrzyć precyzyjnym adresem. Instruktorów KO potrzebują najróżniejsze instytucje, zatrudniają rady na rodowe, kluby, przykładowe i międzyzakładowe świetlice i domy kultury, związki zawodowe... Nie wiadomo zresztą, czy na tym koniec.

Nie ma instytucji, organu, który by trzymał nici tych wszystkich odgałęzień. Wydziałowi Kultury nominalnie tę władzę sprawującemu wytykają się przecież wszystkie kluby młodzieżowe, studenckie, związkowe zawodowych itp. Wydział Kultury z racji swojej struktury nie może być zresztą i nie jest faktycznym zwierzchnikiem i „pałaniem” wszystkich instruktorów.

Pięć lat temu byłem w bałuckiej Radzie Narodowej zarejestrować narodziny mojego syna. Zawód? — spytała urzędniczka.

— Instruktor kulturalno-oświatowy.

— To nie jest zawód.

Z podobnym stanowiskiem spotykałem się nadal. Gorzej, że reprezentują je ludzie, którzy z działalnością kulturalną mają trochę więcej do czynienia niż urzędniczka bałuckie go USC.

ZAWÓD: instruktor KO

pracy nieufnie. „Co to właściwie daje — mówią — o książkach im opowiadacie, to rola szkoły, a nie klubu”. Instruktora muzyki pytają nierzaz po miesiącu pracy, kiedy uczniowie będą mogli wystąpić i patrzeć nieufnie, jeśli ten tłumaczy, że nauka gry na akordeonie trwa trochę dłużej.

Nie potępiam urzędników. Rozumiem ich nawet. Oni muszą złożyć sprawozdania, w których każda instruktorska czynność ma swoją rubryczkę. A pojęcie kultury jest takie niesforne i wielostronne, że nie zawsze da się w rubryczkę wepchnąć. Osobiście największe zadowolenie odczuwałem kiedy, osią-

gnąłem to, że po skończonej pogadance młodzieńcy szarmancko ustępowali miejsca dziesięć w drzwiach wiodących do szatni. Działalność instruktora bardzo często składa się z takich fragmentów dobrej roboty, których w żadną sprawozdawczą całość złożyć się nie da. A urzędnicy się zdziwili i pytają: co wy właściwie robicie?

Dlatego po latach obserwacji uważam, że fundamentalną zasadą na jakiej przede wszystkim winna się opierać praca tego szeregowego pracownika kultury jest zaufanie. Zaufanie do jego umiejętności, do jego dobrej woli,

się płynność kadr, wtedy nie będzie wypadków (autentycznych), że wieloletni kierownik klubu zostaje instruktorem BHP, a wieloletni fryzjer kierownikiem Domu Kultury.

A przecież owa płynność kadr jest zmorem placówek kulturalno-oświatowych. W klubie, z którym ostatnio współpracowałem, w ciągu paru miesięcy zmieniło się pięciu instruktorów. Jak w takiej sytuacji prowadzić systematyczną działalność?

Nie bez winy są tu instytucje, które często zapatrzone w wąskie interesy własnego budżetu stosują nie

sugerowały zbyt czarnego obrazu, zastrzeżenie się trzeba kategorycznie, że jest coraz lepiej. Jeszcze parę lat temu kiedy nie istniały w radach narodowych referaty kultury, a instruktor do spraw kultury był jedynym pracownikiem tej branży w całej radzie, zdarzały się historie paradoksalne. Jeden instruktor przepisywał na maszynie jakieś wykazy, inny pomagał pracownikom wydziału administracyjnego przy reorganizacji działu itp.

Powtarzam — jest lepiej. Ale w dalszym ciągu instruktor nie może wywalczyć należytej rangi dla swego za-



Dalszy ciąg
ze str. 1

rozkaz zamieszkania w getcie, w przeprowadzce pomogli mu polscy przyjaciele, gdyż ludzie lubili Izerę. Prze-

szaj, jak w każdą środę Chaim z Ramkowski został wezwany do niemieckiego komendanta. Rumkowski lubił spać i dlatego cośrodo- we ranne spotkania z Ernestem Bibowem go męczyły. O tej godzinie powinien starosta być już w biurze. Około wpół do dziesiątej

śpią na ziemi. Dalsze przy- cze będzie można zrobić do piero pod koniec roku, gdyż przydział drzewa został już wyczerpany. 20.000 rozbit- ków! Tak jak wtedy gdyś- my uciekali z Białegostoku w 1905 roku przed carskim pogromem! Żydzi łódzcy stracili mają-

OKRUTNE

prowadzał się w świat wiecz- nych trosk, zresztą dobrze o tym wiedział jak wszyscy ci, którzy opuszczali „wol- na” Łódź i zamieszkiwali na bałuckim przedmieściu. Izer Grynztajn dzięki swej mądro- ści i dobremu sercu był jednym ze znamienitszych członków gminy religijnej. Izer Grynztajn skończył poranne golenie i czekał na kawę. Lubił palić mocne cy- gara i miał ich większy za- pas, gdyż starosta monopol na cygara w getcie oddał je- go synowi. Niemieckiej kome- dant Ernest Bibow sprzed- wał je poza getto, płacąc bardzo niskie ceny synowi Grynztajnowi.

Izer zapalił jedno z cygar, aczkolwiek jego żona nie lubiła, gdy robił to przed śniadaniem. Wciągał w siebie dym długimi, spokojnymi wdechami. Trzymał go dotąd w ustach aż poczuł, że wy- pełnia mu podniebienie i przyjemnie swędzi język. U- ważnie obserwował jak czu- bek cygara zamienia się w popiół. Czym dalsza spala- ła się warstwa tym większą przyjemność sprawiała mu palenie, a dobra jakość ty- toniu jeszcze ją potęgowała. „Czy możesz mi już podać śniadanie, Ido?” — zawołał do kuchni.

Niecierpliwł się. Nie z głodu, ale dlatego, że czekał na telefon od starosty. Dzi-

zaczyna się narada. Przesie- dleńcy — myślał Grynztajn są teraz naszym głównym problemem. Getto — miasto za drutami — do którego Niemcy wegnali więcej niż 100.000 ludzi dusi się od przypliwów nowych trans- portów. 20 transportów, pierwszy z Wiednia, a za nim zaraz dwa z Pragi, z Frankfurtu, znowu z Wie- dnia, Kolonii, Hamburga, Dusseldorfu. Przybysze są zatamami utratą mieszkań, dobytku i przyjaciół, tęsknią za wygodą, w której urodzi- li się i wyrosli. Nie są przyzwyczajeni do złego je- dzenia, które im tutaj daje- my. Większość z nich nie zna już żydowskiej religii, albo zna ją słabo. Są bardzo podobni do Niemców, Cze- chów lub Austriaków wśród których mieszkali. Niedługo zamienią swoje piękne ubra- nia na chleb. Będą bez środ- ków do życia. Tylko nielicz- ni z nich zaczynają prac- wać. Są przestraszeni, nie wiedzą co z sobą zrobić.

W najbliższym czasie ma przyjechać jeszcze trzeci transport z Pragi. Każdy transport trzeba gdzieś za- kwaterować, wszędzie jest pełno ludzi — w szkołach, w niedawno ukończonym szpitalu dziecięcym, w let- nich domkach na Marysini- e. Dla pierwszych przygo- towaliśmy przyce, następni

tek, mieszkania, ale są ra- zem, wszyscy się znają je- szcze sprzed wojny. Stali się oni teraz dojrzałi ży- ciowo i łatwiej znoszą nęka-

LATA

jące ich nieszczęścia... „Izer Grynztajn strzą- szał ostrożnie popiół do po- piełniczki i spojrział znowu na zegarek. Zbliżała się ósma, a telefon w dalszym ciągu milczał. W sąsiednim pokoju zaczęła się ubierać Heda. Z kuchni wyszła Ida Grynztajnowa i postawiła na stole śniadanie. „Dzień dobry, Ido — po- wiedział Grynztajn i spoj- rzał na nią czule swymi si- wymi oczyma. — Piękny mamy dzisiaj dzień — do- dał.

Jego rosyjski akcent ra- ził ją nawet po trzydziestu latach małżeństwa. „Mężczy cię coś?” — za- pytała cicho,

„Przesiedleńcy” — mruk- nął.

„Przyjadą znowu nowe transporty?” — stała przy stole z pustą tacą wyczeku- jąc na odpowiedź.

Izer Grynztajn znał do- brze jej nie narzucającą się ale nieprzezwyrodną cie- kawość.

„Jeszcze 3.000 ludzi, wszy- scy z Pragi”.

„A jak wygląda sytuacja z mieszkaniami dla nich, Izerze?”

„Dobrze i źle, Ido”,

„A z chlebem?”

„Tak, z chlebem jest go- rzej. Czarny rynek stał się miotłą, która wszystko wy- miata z getta, a starosta to toleruje”.

„Mam kłopoty z Hedą, Izerze. Chętna Wienaw- skiego ciągle coś gdzieś gna. Zgłosił się dobrowol- nie do Poznania. Powiedzia- ła mi to wczoraj Heda. Te jego wiersze pomieszały mu wszystko w głowie”.

„Gna go dobre życie, Ido! Zbyt dobrze powodzi mu się w kuchni, w przeci- wieństwie do ludzi, którzy jedzą tylko jedną zupę dziennie. Dokąd się nie u- spokoi, nie nabierze rozumu, nie może być mowy o małżeństwie z Hedą”.

„Masz rację, Izerze. Z He- dą będzie szczęśliwy każdy dobry Żyd. Najlepiej będzie jeżeli jeszcze trochę pocze- kamy”.

Na kredensie zadzwonił telefon. Grynztajn podniósł słuchawkę zdenerwowanym ruchem ze staromodnej wy- sokiej skrzynki.

„Tak, będę u was, sta- rosto, o dziesiątej”.

Bawił się sznurem, robił to zawsze kiedy był pełen wewnętrznego niepokoju.

„Ufasz mi, Izerze?” — zapytała znowu Ida.

„Czy uważasz że kiedy- kolwiek ci nie ufałem?”

„Jesteś zbyt mądry, abym mogła ci cośkolwiek pro- ponować. Czy robicie coś dobrego dla przesiedleń- ców?”

„Tak, Ido. Wszystko co można. Czy chcesz mnie jeszcze o coś zapytać?”

„Dajcie im pracę nie tyl- ko fizyczną ale i w admi- nistracji getta, rozumiesz? Niech Rumkowski nie trak- tuje ich gorzej z tego po- wodu, że są przybyszami”.

„Potrzebujemy wielu ro- botników, ale wierz mi, zrób- bię co będzie można aby im pomóc: wirt szojn git zajn?”

Izer Grynztajn powstał i otworzył drzwi do pokoju Hedy. Stała przy lustrze jeszcze trochę zaplakaną od wczoraj i czesała grube, zło- toblond włosy. Uśmiechnę- ła się do ojca.

„Czy u ciebie wszystko w porządku, Hedo?”

„Wszystko, ojczulku”.

JAN KOPROWSKI

Indzie i Książki

CONRAD W POLSCE

W czasie tegorocznych wa- kacji, bawiła w Łodzi grupa naukowców angielskich róż- nych specjalności, również o wykształceniu humanistycz- nym. W czasie spotkania z nimi, padło pod moim adre- sem pytanie: „Co sądzi się w Polsce o Conradzie?” Odpo- wiedziałem, że każde pokole- nie podejmuje na nowo pro- blem Conrada, próbując zna- leźć klucz do oceny jego twórczości i jego życia. Moż- na dodać, że w pewnych krę- gach naszej inteligencji Con- rad jest jakby sprawdzianem zainteresowań intelektual- nych. Ale nie są to kręgi roz- ległe, gdyż Conrad jest pisar- zem trudnym i, jak dotąd na szerszą popularyzację li- czyć nie może.

Po roku 1945 przeżyliśmy kilka faz stosunku do Con- rada. Od próby ponownego wprowadzenia jego dzieł, po- przez negację jego dorobku jako nieprzydatnego dla na- szej rzeczywistości, aż do pełnej afirmacji pisarstwa au- tora „W oczach zachodu”. U- kazują się nie tylko wzno- wienia jego dawnych tłum- czeń. Wydaje się również rze- czy dotychczas nie przekłada- ne, a także książki o Con- radzie, żeby wymienić mono- grafie Jean Aubry i wspom- nienia żony pisarza, Jessie Conrada.

W ostatnich dniach pojawi- ła się, nakładem Państwowo- go Instytutu Wydawniczego, publikacja szczególnie cenna i zasługująca na baczną uwa- gę. Jest to tom pt. „Wspom- nienia i studia o Conradzie”, w wyborze i opracowaniu Barbary Kocówny. Zgroma- dzony tutaj artykuły, szkice i wspomnienia różnych auto- rów polskich od najdawniej- szych aż po dzisiejszych, po- zwalają nam prześledzić „dro- gę Conrada do czytelnika pol- skiego”. Ten najwybitniejszy pisarz angielski XX wieku, Polak z pochodzenia, zaprzę- tał i wciąż zaprzęta wiele naszych umysłów. Tom o- twierają dwie wypowiedzi, o- głoszone w 1890 roku na la- mach petersburskiego „Kra- ju”: Wincentego Lutosław- skiego i Elizy Orzeszkowej. Lutosławski, filozof, niedgdy- głośny, dziś raczej zapomnia- ny, w artykule „Emigracja zdolności” nie brał za złe Conradowi, że opuścił zło- kraj i pisał w obcym języku. Siłę Polski podnosi się rów- nież przez to, że jej synowie dokonują rzeczy wybitnych poza krajem, przyczynając chwałę jej imieniu. Zpełnie innego zdania była Eli- za Orzeszkowa. Bardzo miała za złe Conradowi, że wyje- chał z Polski i ogłaszał pisma nie w polskim języku. „Ten pan — pisała Orzeszkowa — który po angielsku pisuje powieści poczytne i opłaca- jące się wybornie, o mało mię ataku nerwowego nie naba- wil” (Dodajmy nawiasem, że powieści te nie były jeszcze wtedy ani poczytne, ani opła- calne). Nie zawahała się na- zwadzić go zdrajcą, czego Con- rad nie mógł jej do końca ży- cia zapomnieć. Kiedy Aniela Zagórska podsuwała mu powie- ści Orzeszkowej, mawiał: „Nie dawaj mi nie tej ba- by do czytania!”

Gdy dziś, w 1963 roku, od- czytujemy te dwie wypowied- dzi z końca ubiegłego stule- cia, jedno musi nas zadzi-wić. Wypowiedź Lutosław- skiego brzmi tak, jakby jej autorem był pisarz nam współczesny, jest rzeczowa napisana dobrą potoczną pol- szczyzną. Umieszczona w któ- rykolwiek z naszych tygod- ników, nie raziłaby nikogo. Inaczej rzecz się ma, niesta- ty, z Orzeszkową. Ta szlachet- na pisarka, mieszkająca całe

W pracowniach łódzkich pisarzy

WACŁAW MROZOWSKI



Dziękując za zaproszenie do wypowiedzi „W pracowniach pisarzy łódzkich”, chciałbym jednak zastrzec, że pracowni nie posiadam — jestem za to właścicielem „mordowni” pisarskiej, gdyż trudno inaczej nazwać zawód, który ku memu nieszcześciu, zmusza do życia tak jak żyje, a nie tak jak chciałbym żyć.

A więc z „mordowni” pisarskiej Wacława Mroźowskiego, w ciągu ostatnich 5 lat wyszły cztery książki: 3 tomy wierszy: „Drugi brzeg” (PIW), „Akwarium”, tom „Wierszy wybranych” (Wyd. Lubelskie), w roku ubiegłym, i przed paroma miesiącami pamiętnik literacki „Cyganka” (Wyd. Lubelskie) o bohemicznej artystycznej XX-lecia. (Środowisko młodych poetów lubelskich przeszedł na grunt Warszawy: Józef Czechowicz, Henryk Domiński, Stan. Gredziński, Bronisław Ludwik Michałki, Wacław Mroźowski). Zarówno „Wiersze wybrane”, jak i „Cyganka” w ciągu paru tygodni zniknęły z półek księgarskich i są dzisiaj wyczerpane.

W tym roku ukazał się „Antologia poezji lubelskiej” (Wyd. Lubelskie) oraz złożony w tymże Wydawnictwie tom „Proza i dramaty” Józefa Czechowicza, jako drugi tom dzieł zebranych wielkiego poety, to rok przyszły, (tom L. Poezje i przekłady ukazał się obecnie).

Pracuję równolegle nad trzema książkami o charakterze wspomnieniowo-pamiętnikarskim. Pierwsza to pierwsze lata pobytu na Dolnym Śląsku (1945—50) dla „Ossolineum” we Wrocławiu, druga to wspomnienia z pierwszych tygodni powojennej Łodzi

1 od r. 1950 do dziś. Ukazując w nim łódzkie środowisko literackie takie, jakim je widzę i jakie ono jest bez blagi, od strony kuchni, w swym życiu codziennym zakonspirowanym w warunkach przy ul. Młockiej 8. Ciekawe to będzie dla szukających dreszczyków i sensacji. Klj w mrowisko. Dużo zdjęć dokumentalnych. Ale trzeba to wreszcie zrobić, bo pamięć ludzka jest krótka. I wreszcie ostatnia praca, nad którą siedzę już od paru lat, to powieść biograficzna „Z Barleycornem przez życie”. Tytuł mówi za siebie i nie wymaga komentarzy.

A poza tym żyję jeszcze, a jak i czym to już najmniej obchodzi Czytelnika.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Nie mam „ostatnio wydanego” książki. Roku 1961 (wtedy wyszło w Wydawnictwie Łódzkim „Jednak jestem” (nie można chyba objąć przysłówkiem „ostatnio”).

Poem napisałem powieść współczesną. I złożyłem ją na poważny, międzywydawniczy konkurs, ogłoszony w związku z 100-leciem powstania literatury o niedostatku powieści współczesnych. I powieść została nagrodzona, o czym doniosły w lipcu 1962 roku wszystkie pisma literackie, niewychodzące w Łodzi. Po czym nagrodzona powieść nie została wydana, co w pewnej mierze umiatafizyczna sens i racje bytu konkursów literackich. Owszem „Odgłosy” drukowały w rok po konkursie fragment mego powieści, nie zdradzając jednak ni słowem, że chodzi o utwór nagrodzony. Malutka rzecz, a smutna.

Ponieważ mam bardzo wiele zajęć nieliterackich, napisanie książki nie jest sprawą wyłącznie wydolności twórczej. Piszę jednak. Mam zawartą umowę na tom opowiadań. Daleko jeszcze do tomu. Z tego co jest nie było ogłaszane drukiem.

Ze względu na to, że redakcja „Odgłosów” interesuje się w swej antenie tylko książkami, nie wspomina o całej — dużej ilości — resz — mego pracy też trochę chyba literackiej, mianowicie o twórczości radiowej i estradowej.

Dziękuję.

Dalszy ciąg ze str. 1

przeciw bólowi mięśni. Jakież to niezrównane lekarstwo przeciw bólowi głowy, żołądka i niedomogom w krążeniu krwi. Zaprawdę powiadam wam, że samochód to wymarzony sport dla panów około 50-tych.”

„Motozbyt” ruszył zresztą też do przodu i wzorem dwóch panów z Kutna otworzył pierwszy w Łodzi komis samochodowy. Dobrze i to. Gdyby nawet komis nie było, to łodzianie i tak wydadzą w tym roku 400 milionów złotych na motoryzację, więc na zakup nowych aut, motocykli i części wymienionych. Ale „Motozbyt” nie ma zbyt wesołej twarzy. W zeszłym roku „opylili” łodzianom 1687 samochodów osobowych, w tym roku licznik wybił tylko 1342 sprzedane wozy. Wóz jest w handlu mniej, to prawda, import się zmniejszył, zawsze jednak i w tym, choć kiepskim roku, na podobny wąskich łódzkich przecznice ruszy kolejna dywizja motoryzowanych dżentelmenów. Ci dżentelmeni zapłacą za nowe auta 122 milionów złotych.

Jakie wozy sprzedaje łódzki „Motozbyt” i po jakiej cenie? Oto piękna lista tych wozów: Trabant-Limuzyna

- 65 tys. złotych
- Trabant-Combi — 72 tys. złotych
- Wartburg-Standart — 95 tys. złotych
- Wartburg de Lux — 105 tys. złotych
- Wartburg-Combi — 108 tys. złotych
- Skoda-Octavia — 95 tys. złotych
- Skoda-Octavia-Super — 98 tys. złotych
- Moskwicz — 115 tys. złotych
- Syrena — 72 tys. złotych
- Warszawa — 120 tys. złotych

Do wyboru do koloru, bierz na co cię stać, z tym, że kto łypie lasym okiem na wartburga, niechaj wie, że trwa hossa na ten model. W ogóle rynek łódzki to rynek chimeryczny, na którym dzieją się rzeczy zadziwiające. Ten rynek nie opiera się na przesłankach technicznych czy na rachunku „ekonomicznym”, opiera się na modzie, częściowo na płócie. „Proszę pań, czy pani wie, że pan doktor x... kupił wartburga? Jeśli on kupił to i ja nie możemy być gorsi...” Spec powie inaczej — Skoda jest lepsza od wartburga, skoda to „czterosuw”, wartburg zaś jak syrenka to „dwusuw”, to właściwie motocykl na czterech kółkach. Pyk, pyk, pyk... Skoda tak nie pyka, chodzi gładko, równo, chodzi jak samochód.

Zostawmy, de gustibus non est disputandum.

Kto kupuje samochody w „Motozbycie” na Piotrkowskiej?

Jak wszędzie na tym globie żelazną klientelą są tech-

nokraci i medycy. No cóż, na wsi dziś wręcz nie wypada medykowi nie mieć własnego auta. Cóż to za doktor bez „taksówki”? Widocznie jakiś diabelny patałach, to pewnie jeden z tych, którzy gdy kogós bola nerki, mówią — „Zie, proszę pana, wątrobę trzeba leczyć i asprynę wziąć na poty”. — Na liście kupujących pojawił się także robotnicy. To jest nowum. Robotnicy nabywają syrenki, płacąc za nie ratami po 2200 złotych miesięcznie.

Syrenki i trabanty można nabyć w każdej chwili, stoją w Łodzi na składowi.

Czy nadejdzie taki czas, że auta będziemy kupować jak ubrania w domu towarowym? Licho wie, poczekamy, zobaczymy. Na marginesie tego ciska się jednak już dziś refleksje wcale nie filozoficznej natury. Auto było nie

„MERCEDESEM” do Kutna

tak dawno oznaką klasowego podziału. Miałaś auto, więc byłeś kimś, dostajesz się na szczyt. Choć te czasy przemienły, w świadomości wielu pozostał cień, drzazga. Ci ludzie jeszcze dzisiaj odczuwają widok prywatnego auta jako obrazę ich oczu i ducha. — „Ma samochód, to ci dopiero kanalia!”. Ci ludzie chodzą z raną w sercu zadana im przed wojną, chodzą z drzazgą, której wyrwać jakoś nie potrafia.

Samochód był kiedyś atrybutem władzy, klasy, elity. „Atrybutem czego jest dziś? Sprawowanej funkcji, stanowiska, wykształcenia, życiowego sprytu? Tak czy owak, auto przestało być symbolem klasy. Wszystkie warstwy społeczne dają obecnie do posiadania własnego środka lokomocji. Ludzie rozglądają się po znajomych, patrz kto wóz ma, kto jeszcze nie ma. Obsesja? Gorączka wieku technicznego dojrzwania? Chyba duch czasu, ten duch nie ma zresztą nic wspólnego z nierównością społeczną. Wprawdzie Machiawelli głosił, że tylko ludzie nady mogą być naprawdę sobie równi, ale to nie dowód byśmy zaraz wszyscy mieli wstępować do zakonu białych nudystów. Machiawelli też nie wstąpił.

Więc masowy, tani, popularny samochód?

Kto wie czy za flesz tam lat takim wozem nie stanie się któryś tam model syrenki? Samochód daje wszak poczucie siły, zadowolenia, ułatwia życie, usuwa bariery społeczne, zapewnia więcej wolnego czasu. Łódzki „Motozbyt” wie o tym. Dlatego każdy, kto nabędzie nowy wóz, otrzymuje od „Motozbytu” na pamiątkę liścik tej treści:

„...Siał się Pan szczęśliwym posiadaczem samochodu osobowego. Mamy nadzieję, że pojazd stanie się dla Pana prawdziwym przyjacielem, ułatwi wykonywanie zawodu, sprawi wiele radości...”

Pewnie, że identyfikacja auta z awansem życiowym i szczęściem byłaby nonsensem. Odmawianie jednak samochodu wszelkich walorów byłoby bzdurą a rebours. Do diabła, jesteśmy przecież materialistami, wszystko co materialne nie jest nam przeto obce. Zdają sobie z tego wszystkim doskonale sprawę nasi sąsiedzi przez miasteczko. Zakłady „Sachsenring”

informacje i zaczepki

♦ Kutno odwiedził gen. Simon Kriwościn — członek delegacji Armii Czerwonej, która niedawno gościła w Polsce. Warto dodać, że gen. Kriwościn dowodził w 1945 roku oddziałem Armii Czerwonej, wyzwalał ją z miasta. W czasie spotkania z mieszkańcami Kutna młemu gościowi nadano odznakę Honorowego Obywatela Miasta.

♦ W ubiegłym tygodniu łódzki świat sportowy obchodził miłą uroczystość. Otóż Rzemieślniczy Klub Sportowy „Resursa” święcił jubileusz swojego 50-lecia. „Resursa” powstała w 1913 roku i była trzecim z kolei (po LKS i Włocławskim Klubie Sportowym) zrzeszeniem sportowym naszego miasta. RKS „Resursa” liczy sobie ponad 4.000 członków. Na uroczystości jubileuszowej interesujący referat na temat historii klubu i ruchu sportowego Łodzi wygłosił znany badacz łódzkiej przeszłości — Zdzisław Koncicki.

♦ Bardzo dowcipnie spardolowano w jednej z audycji Polskiego Radia popularną piosenkę łódzkich autorów (A. Markiewicz i J. Gwóźdź): „Listonosze muszą mieć kalosze”, „Aptekarze muszą mieć bandaż”, — śpiewa się tam w refrenie, ale lista zawodów, które muszą coś mieć, jest w parodii znacznie dłuższa.

♦ Z żyłkami było ostatnio w Łodzi kruchło. Wielu mężczyzn zastanawiało się nawet, czy nie wrócić do egzystencjalistycznych zarostów. Przyczyna, jak się okazało, leżała w... coraz lepszej jakości żyłek, produkowanych przez zakłady w Rawie Maz. Fabryka dostała w związku z tym sporo zamówień z krajów strefy dolarowej, m. in. z Afryki, które musiano wykonać w pierwszej kolejności i rynek krajowy trochę na tym ucierpiał. Ale już wszystko jest w porządku. Fabryka w Rawie zwiększyła produkcję o 21 milionów sztuk i znów będziemy chodzili gładko w goleno.

♦ Naszym Czytelnikom polecamy ciekawą wystawę eksponowaną obecnie w Muzeum Historii Ruchu Robotniczego. Wystawa nosi nazwę „Dawna Łódź w fotografii” i daje zwiedzającym kapitalny materiał do poczynienia interesujących analogii. Naprawdę, warto popatrywać się do szarego budynku przy ul. Gdanskiej 13. J. W.

BERNARD SZTAJNERT



MIEJSCE MARKA WAWRZKIEWICZA

Gdyby miłujący współczesną młodą poezję nauczyciel kazał uczniom napisać wypracowanie o poezji Marka Wawrzkiwicza i gdyby jakiś uczeń napisał w tym wypracowaniu „...W wierszu „Sen” mówi nam Marek Wawrzkiwicz o tym jak zabił Cygana...” — trudno byłoby zganić owego ucznia za to, że myli Marka Wawrzkiwicza z krwią i kości, Marka Wawrzkiwicza z metryką urodzenia, z podmiotem lirycznym, z podmiotem narracyjnym, bowiem Marek Wawrzkiwicz uczynił w o-

statnim tomie wierszy*) bardzo wiele dla kompletnego uświadomienia siebie z podmiotem wierszy.

Nie kryjąc się z tym pragnieniem tożsamości poświadczaj ją wypisaniem „Epitafium” dla samego siebie, Epitafium z dedykacją dla siebie — dlatego trudno nam uwierzyć w szeregową intymność jego związków z drzewami i owocami, ze światłem światła i ciemnością, owadów i zwierząt. Podmiot wierszy jest humanistyczny — posiada obok metryki urodzenia wypisaną metrykę kulturową, mówiącą o jego najbliższym związku z określonymi formacjami literackimi przeszłości. Marek Wawrzkiwicz wierny i uporczywy klasyk współczesności — kla-

syk taki, jakim być może żyjąc współcześnie — zwolennik i praktyk wierszy wypowiedzianych poprzednie, precyzyjnych wersyfikacyjnie i poetycko, odwołujących się zwyciężająco do tradycji i wzorów życia, miłości i zagłady, opiewających tradycyjne tematy przyrody, snu, miłości i piękna...

Wszystko to wydaje się prawdą w miarę czytania tomiku — w każdym niemal wierszu znajdziemy potwierdzenie tych dążeń tematycznych i formalnych. Od stonowanych uczuć miłosnych, uczuć godnych tego aby je użył oświecony członek społeczeństwa, do wolteriańskiej powiastki o patronie. Jeżeli jednak znajdzie się

czytelnik uparty i przekorny to być może pomyśli, że wszystkie łatwo dostrzegalne, wypunktowane wyżej konsekwencje — konsekwencje zbyt oczywiste, zbyt zbieżne, są konsekwencjami pozorów. Cóż oświecała nam świeca, które płoną w wierszach Wawrzkiwicza, jego zakłęcia, jego nastroje, przy wolywanie Małgorzaty i Marii. Cóż wreszcie znaczy owe ściśle ułożenie się osobiste z podmiotem wierszy — stała osobista obecność poety, właśnie poety Wawrzkiwicza w dziele. Odnajdźmy taki przekorny czytelnik w tych wierszach poetę romantyka — wcale nie abstrakcyjną — historyczną tylko wiedzą znaną romantyzmowi, ale właśnie żywego romantyka ukrytego w wierszach, romantyka faktycznie współcześnie żyjącego. Człowieka, którego romantyzm nie jest rezultatem historycznej tylko wiedzy, ale także własnej uczuciowej konstrukcji — a więc nie romantyzm z wyboru, lecz romantyzm z konieczności, z osobistej niejako determinacji — Wawrzkiwicz bowiem świadomie wybrał, o ile w praktyce poetyckiej można świadomie wybrać klasycyzm a stał się romantykiem mimo woli i żeby sprawę powiedzieć do końca wcale nim się nie stał — on nim był od początku, od pierwszych wierszy, od pierwszego poetyckiego oddechu. Romantyzm

bowiem jest zespołem porównań, a klasycyzm zespołem myśli i tak widząc rzecz w ogromnym uproszczeniu wiemy już, że klasycyzm może być dla poety przedmiotem wyboru, natomiast romantyzm poetę ogarnia.

Ostatni tom Wawrzkiwicza dzieli się na dwa działy „Strona snu” i „Rozmowy o naturze”. Wiemy już, że wiersze te wymagają co najmniej dwóch odczytań. Wydaje się jednak w obecnej fazie rozważań, że Wawrzkiwicz sam uświadomił sobie swoją poetykę, a więc i ludzką dwoistość — usiłował swoje wypowiedzi poetyckie poklasyfikować — wydzielił swoją część romantyczną i to jest właśnie „Strona snu” i część uporczywie racjonalistyczną i klasycyzującą — to oczywiście „Rozmowy o naturze”. Jak bardzo silne jest pragnienie ułatwienia sobie sprawy poprzez poprzestanie na tym podziale, podziale dokonany na widzeniu w nim części romantycznej i części klasycyzującej — niestety, wiara w bezbiedność i ostateczność tej klasyfikacji jest mylna i szkodliwa, gdyż wynika z pragnienia ułatwienia sobie analizy. W owej części rzekomo romantycznej odnajdujemy sny racjonalisty, słyszymy pytania badacza i filozofa. „Skąd jesteś, który marzysz? Ze snu jesteś, albo z zapomnienia sennego...” Uśmiechaj się jak dziecko... Wybierz to rozwiązanie. a

nie będziesz musiał o sens się pytać, twój sens, który zagubiłeś w drodze między słowem „jest”, a słowem „nie ma”... a owej części romantycznej klasycyzującej odnajdujemy „Wróżby”, „Sen” i piękny wiersz o Liszcie — wiersz — apologię romantyzmu.

Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, gdy znajdujemy u tego samego Wawrzkiwicza zakusy biologizyczne, przetworzone ale przecież z ducha biologizmu Skamandra („Liść”), gdy znajdziemy sposoby rozgrywania konfliktów i związków, między jaźnią, a przestrzenią na modłę Krakowskiej Awangardy, której wzory pozwalają dzwiedzieć w pozorne staroświeckim wierszu kołysać ulicami.

Poeta Marek Wawrzkiwicz — przedwzruszenie wypisał sobie „Epitafium”. Należy nam się od niego jeszcze wiele wierszy. Wybrał drogę twórczości poprzez przyswajanie — w zakresie tego, co mógł wybrać — sam został wybrany i ogarnięty romantyzmem, takim jakim może być romantyzm współczesnego poety. Jest Wawrzkiwicz badaczem i myślicielem nastrojów oraz nastrojowcem i uczuciowcem mścił.

Wysokie jest jego miejsce wśród nas.

*) Marek Wawrzkiwicz „Orzech i Nimfa” Czytelnik 1963.

W uszach przywoziłem tu miasto,
Co dzień zatapia je morze,
W piaskach zginęły drogi powrotu,
Pod głową mam plażę
Nade mną — cicha komunikacja chmur.
Pod zamkniętą powieką
Przechowana przybrzeżna, samotna noc.
Czekam, aż piana rozbitych fal
Nakryje mnie puszystą pościelą —
Jest mi zimno...
Wkrótce tutaj głośniki
Na długo zapomną melodii.
Powiększyła się cisza
Nad plażą
O moją samotność.

WSPOMNIENIE

Kwiaty polne —
Fragmentem łąki na stole
Wśród melodii nieznanych, obcych,
Gdzie ich wiatr został?
Tu dymy ognisk w snach,
Sztucznym obłokiem papierosa,
A zima obrusu — przestrzenia konania,
Białą śmiercią kwiatów.
Tu, zgnieciona szklanka —
Boli jak drut kolczasty w dłoni...
Dziewięćset czterdzieści trzeci, wschód,
Okopy białe od śniegu.

Z dachu zerwały się oklaski.
Wysoko gdzieś kształty białe
Przechodzą w błękit ciszy.
Tam niebieskie stadiony,
Tam bieżnie dla okrążeń,
Bezkres dla lotów,
Gdzie oblok biały
Skrzydłami przesyty
Rozprasza się
W kręgi opadającego śniegu,
W stado gołębi.
Czekam, aż dach
Stanie się biały.



Władysław Rymkiewicz KONFERENCJA u MECENASA

Usłyszałem świergot wróbi za oknem i ujrzałem na wysokim niebie biały warkocz odrzutowca, którego przelot uszedł naszej uwadze względnie został zagłuszony przez stentorowy głos mecenasa.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem pańską myśl, jest pan zdania — mecenas splótł dłonie na rekołajski laski, umieszczonej między nogami, i przekrzywiwszy nieco głowę przyjrzał się klientowi jak nauczyciel zdolnemu i mędrkującemu uczniowi, z trochę ironicznym podziwem. — Ale na czym opiera pan swe twierdzenie?

— Sniada i zwiędła twarz Taborskiego zrobiła się kłębkciem cienkich zmarszczek. Domyśliłem się, że mógł go drażnić a nawet oburzać żartobliwy ton indagacji.

— Drogi panie — odezwał się wówczas mecenas ciężkim głosem, jak wytrawny gracz, który czeka cierpliwie na odpowiedni moment, kiedy warto wejść do gry. — Wskazałem panu na sprzeczności w zeznaniach Zdunka i odczytałem panu opinię lekarza sądowego, który dokonał sekcji zwłok Michałaka. To wszystko co mogłem zrobić. Reszta, to znaczy decyzja, należy do pana.

Zorientowałem się łatwo, że posunięcie to miało na celu stworzenie pozorów obiektywizmu, osłabienie czujności rozmówcy i niezastrzeżenie sytuacji, w której w czasie polemiki rodzi się po obu stronach zacierzenie umiarkowane tylko oponentów na zajętych pozycjach.

— Pozwalam sobie tylko zapytać pana, czy zdaje pan sobie dostatecznie jasno sprawę z powagi oskarżenia, jakie przeciwko panu wytoczono? — Falski zapytywał przyjacielsko, niemal słodko. — Pan jest oskarżony, primo, o nieprzygotowanie dokumentacji technicznej swojego wynalazku. — Usłyszałem lekkie stuknięcie twardymi palcami w biurko. — Secundo, o nieprzygotowanie instrukcji ruchowej dla robotników — drugie stuknięcie. — I tertio, jest pan oskarżony o brak nadzoru w czasie dokonywania prób technicznych nową metodą wodoro-siarczku.

Papierosy, zapalki, zapalniczka i wzajemne kurtuazyjne gesty.

— Muszę podkreślić, że zależy mi na tym, żeby nie być przez panów źle zrozumianym. — Falski schował zapalniczkę do kieszonki w kamizelce. — Proszę pamiętać, że ja pana do niczego nie namawiam, panie inżynierze. Natomiast moim

obowiązkiem jest ostrzec pana, że casus Zdunek ma szersze znaczenie. — Falski wydmuchał pióropusz dymu. — Stawką w tym procesie jest cała pańska przyszłość i kariera... Jeżeli w dzisiejszych czasach w ogóle może być mowa o karierze w dawnym sensie tego słowa — dodał melancholijnie uśmiechając się z politowaniem w przystępnie gorzkiego powątpiewania. — W każdym razie, w wypadku wyroku skazującego — znakomity prawnik i wybitny członek palestry nie dokończył zdania, jakby obawiając się przekroczyć subtelną miarę sumienia i cienką jak włos linie skrupułów moralnych, tylko rozłożył szeroko ręce. — Dlatego musi pan zdecydować sam. — Złożył z powrotem ręce na kościanej rączce pamiętkowej laski i przybrał wyczekującą minę cierpliwego doradcy, który zostawia klientowi czas do namyślenia.

Taborski siedział zatopiony w klubowym fotelu. Wydało mi się, jak gdyby obsunął się jeszcze głębiej, jak gdyby zapadł się w ten fotel i nie mógł się już z niego wydostać, przytłoczony ciężarem gróźb i ostrzeżeń. Domyślałem się, że toczył ze sobą walkę, że rozdierały go sprzeczne racje. Ujrzałem nas obu, jego i siebie, pograżonych w klubowych fotelach i milczących wstydliwie, i trochę sterroryzowanych powagą i autorytetem wybitnego prawnika, i poczułem się jakoś niezręcznie, jakbym był nie w porządku wobec Taborskiego i nie prowadził gry fair w stosunku do Zdunka. A jednocześnie pomyślałem, że może osądzam mecenasa zbyt surowo. Na ogół, jesteśmy bez litości dla cudzych wad i błędów.

Zaczęło się zmierzchać. Na tle wypłowiałej tapety srebrzyła się zjeżona grywa siwych włosów mecenasa, obramowana rozwieszonymi na ścianie fotografiami jubileuszowymi za szkłem, które polyskiwało w mroku nadejście wieczoru. Wśród fotografii znajdowała się podobizna kanonika (jednego ze stryjów mecenasa) w krótkiej pelerynce na komży i w spływającym z pelerynki łańcuchu, podwiniętym po bokach i kończącym się na wysokości mostka ozdobnym pektoralem. I zdjęcie pałacu z kolumnami w majątku ziemskim w Sudragach, będącym przed wojną własnością stryja mecenasa.

Pograżony w głębokim skórzanym fotelu klubowym Taborski spoglądał z przegnębieniem na te symbole dawnej ziemiańsko-burżuazyjnej świetności rozwieszono

na ścianach pokoju pełnego stęchłej i rozkładającej się — lecz wciąż jeszcze nie poddającej się ostatecznemu rozkładowi przeszłości, której patronowała wasyta śp. dziekan Rady Adwokackiej i szambelan papieski, obserwujący nas z okrągłego portretu — fotografii w złoconych ramach, i w której brylował z wrodzoną swobodą i nieco irytującą pewnością siebie Falski, a w której Taborski pocił się doznając skrepowania i niewygody, i utajonej obawy przed nieostrożnym potrąceniem nagromadzonych w gabinecie szczątków — rupieci — tradycji, które same przez się, rozsypywały się powoli w proch. Czulem się razem z nim wpląpany w zagmatwaną interpretację casusu Zdunka i razem z nim osaczony przez demony panujące w tym gabinecie adwokackim, demony, które zdawały się obserwować nas z obrazów, portretów i fotografii, i czyhać na każde nasze nieostrożne słowo.

— A więc, panie inżynierze? — zapytał nasz obrońca.

Taborski objął dłońmi wytarte skórzane oparcie klubowego fotela. Ręce miał krótkie i szerokie, a skórę śniadą, prawie jak brązowe pokrycie fotela, skórę dłoni i łopatkowych palców, grubych i pomarszczonych, z krótko obciętymi paznokciami, zarosłymi skórka, których zabarwienie odcinało się jak surowe mięso od koloru ciała. Pomyślałem, że może ulegam złudzeniu, gdyż siny odcień paznokci mógł powstać od kurczowego nacisku wywołanego silnym wzruszeniem i powodującego odpływ krwi z palców.

— A więc, panie inżynierze? — powtórzył mecenas przynajmniej niedopałek papierosa w popielniczkę.

Taborski przeniósł spojrzenie z fotografii kanonika i pałacu na Falskiego, a potem na mnie i powiedział głosem człowieka, który został osaczony i nie widzi wyjścia z zasadzki, głosem, w którym nienawidź współbrzmiała z gotowością do walki i układów na jakich rozsądnych warunkach. — Nie jestem sam. — Patrzył na mnie pytająco. — Nie mogę decydować sam.

Mecenas jakby tylko czekał na taką rozsądną odpowiedź. — Otóż to! — zagrzmiął. Pod grzmącym słowem uznania dla rozsądnego klienta dostyszałem nutkę triumfu. — Naturalnie! — potwierdził aprobującym tonem. — Decyzja należy również do pana inżyniera. — Pochwalający głos dochodził do mnie zza srebrnego konia szukającego się do skoku na ekrytuarze. Punkt ciężkości przesunął się na mnie. Miałem po-

wziąć decyzję, i to nie tylko za siebie, a drzałem przed następcami, które prze-czuwałem za wyrokiem, drzałem przed nawrotem choroby, przed sanatorium, przed sauną, przed starymi drzewami w alejkach, po których przechadzali się psychicznie chorzy w pasiastych szlafrokach, drzałem przed tym wszystkim, co zaczynało się nieuchronnie z rozwojem choroby, którą byłem dziedzicznie obciążony, na którą cierpiał mój dziadek, a którą psychiatrzy kwalifikowali jako nerwicę określając ją lekarskim terminem — depressio involutiva, pograżałem się wtedy za dziadkiem w ciemność, przerażony, że tym razem utonę na zawsze.

— A więc, panie inżynierze? — pytanie było skierowane do mnie.

— Czy uważa pan mecenas, że nasza sprawa jest beznadziejna? — zapytałem.

— I czy zachodzi konieczność powołania świadka? — Kochany panie, Tedi ma na przepaskę na oczach — brzmiała enigmatyczna odpowiedź. — Proces sądowy jest jak krakusa. Nigdy nie można przewidzieć wszystkich następstw. — Trzymając dłoń na rączce laski obserwował z zainteresowaniem swe paznokcie. Był to dostatecznie wyraźny znak, że uważa konferencję za zakończoną.

Stara kobieta usługująca mecenasowi i jego siostron wyprowadziła nas przez mroczny przedpokój zatarasowany kufkami. Słyszałem jak opuszczała z brzękiem ciężki łańcuch, odsuwała rygiel, podnosiła zatrzask i przekreślała klucz w zamku. Z przytłumionym hukiem zatrasnęły się za nami drzwi z mosiężną tabliczką z napisem Witold Falski adwokat polyskująca w ciemnej sieni na parterze.

Zrobiłem krok naprzód. Taborski coś powiedział. — Co pan mówi? — zapytałem.

— Czy nie ma innego wyjścia? — zapytał.

Chciałem odpowiedzieć, żeby zwrócić się z tym do mecenasa, który ponosił teraz odpowiedzialność za sprawę. Czulem na sobie jego pytające spojrzenie i brała mnie złość na natręta, który się nie chciał odczepić, nie mogłem ukryć rozdrażnienia, zastanawiałem się, czy nie powziąłem decyzji zbyt pochopnie. Spozstrzegł moje zniecierpliwienie i zawałał się, ale w końcu powiedział ścisłym głosem oglądając się na drzwi z tabliczką: — Są chyba inne sposoby obrony sprawy?

— Słyszał pan, co powiedział mecenas.

— Moja narzeczona jest zdania, że powinniśmy wycofać sprawę od mecenasa.

— Wiem o tym. Szkoda jednak, że się pan nie zdecydował wcześniej.

— Więc pan inżynier również? — zapytał ostrożnie sądząc, że i ja jestem zdania, że coś jest nie w porządku.

— Nie rozumiem, co pan mówi? — odparłem szorstko.

— Krystyna jest zdania, że powinniśmy zwrócić się do mecenasa Jarosza albo do Kopczyńskiego.

— Po pierwsze, należało to zrobić wcześniej — tłumaczyłem z irytacją. — Po drugie — przypomniałem sobie, jak Leopold spojrzal na trzymany we wgnębieniu dłoni zegarek, a potem pojął swoją dyrektorską „Warsawę” po Malskiego, i powiedziałem: — To przecież Castellaż skontaktował nas z mecenasem.

— To prawda — powiedział i umilkł, przynębiony. Wiedziałem, że rozumiał, że zrzekając się wybranego przez dyrektora obrońcy dałby dowód nieufności do swego apodyktycznego zwierzchnika.

— Czy pan inżynier sądzi, że... Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie wyobrażałem sobie, jak postąpić. Nie wiedziałem, co jest w naszej sprawie słuszne, a co niegodzliwe. Wszystko wydało mi się niepewne, wątpliwe i dwuznaczne. Nieraz już znajdowałem się w podobnej sytuacji, z której nie widziałem wyjścia. Mogłbym tylko milczeć, co by oznaczało zgodę na wszystko. Ale tym razem nawet milczeć nie mogłem. Drażnił mnie chłodny, uprzejmy, niuśtepliw wyraz oczu Taborskiego.

— Nie wiem — rzuciłem, podrażniony. — Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Niech pan robi, jak pan uważa. Daję panu carte blanche — powiedziałem.

Zostaliśmy więc postawieni w stan oskarżenia z art. 217 k.k. Taborski i ja. W dniu sprawy czulem się od rana jakby mnie za gardzieli mieli położyć na stole operacyjnym. Nie byłem jeszcze nigdy na rozprawie sądowej i nie wyobrażałem sobie jak odbywa się sąd. Czulem się więc marnie, a w dodatku nawalił mi silnik, który nie chciał pracować na małych obrotach. Przykryłem nową śrubkę do gaźnika, pociągnąłem za gałkę, silnik ani drgnął. Ponad opuszczoną szybą wozu ukazała się lysina lokatora z pierwszego piętra. — Powinien pan sobie zafundować nowy wóz, panie inżynierze.

Wysiadłem, podniosłem maskę i zacząłem szukać błędu w motorze. Lysina emerytowanego kolejarza pętała mi się pod ręką. Podglądał każdy mój ruch. Powinien pan sobie zafundować „Warsawę” — nudził.

— Odejdź pan — mruknąłem, bo mi przeszkadzał. Straciłem pół godziny na

remont i bałem się, że się spóźnię do sądu. Ale ponieważ nie chciałem sobie psuć dobrosąsiedzkich stosunków, więc dodałem pojednawczo z wiesielczym humorem: — przyzwyczailem się do tej diabelskiej dryndy i bawią mnie jej grymasy. — Usiadłszy znów za kierownicą dociskałem starter i pociągałem za gałkę.

— Ona się już nie nada do jazdy — podjudzał mnie z nieukrywana satysfakcją. — Sprzedaj ją pan na szmela, będą z niej żyłki, cha, cha, cha! — śmiał się głu- pio.

Wtedy moja dekawka, jak by ze strachu, szarpnęła, napełniła ulicę hurkotem, trzeszczeniem i chmurą spalin, i ruszyła powoli na oczach zdumionego sąsiada.

Różowy gmach sądu w stylu pseudorenesansowym zajął mował całe lewe skrzydło placu. W ogromnym westybulu z szerokimi schodami rozgależającymi się na piętrach, mrowiła się, gęsiła, masa ludzka, jak w wielkiej hali na dworcu kolejowym: publiczność, woźni, adwokaci w czarnych togach, którzy snuli się po kuliarach z tajemniczą zawziętością szamanów powiewając polami szat rozwiewających się jak peleryny. Świat, zdaniem pewnego filozofa, stanowił uporządkowaną całość jestestwa, ale ten wielki hall jak mikrokosmos był właśnie nieporządkiem nieporządku i zamieszania, a ja raczyony w ów mikroświat, którego sobie bynajmniej nie wybrałem, stałem pośrodku rozgardiaszu i czulem się jak przypadkowy przechodzień, którego na zasadzie zabawy dziecię — entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego brzdęk — porwali z ulicy i dostawili do sądu. Nigdy więc jeszcze nie stałem tak twarzą w twarz z wrogim światem uprzytamniając sobie, że stało się coś, na co nie miałem wpływu (ktoś otworzył zawór) i to, co się stało doprowadziło mnie wbrew mej woli do wnętrza tego gmachu, w którym miałem być sądzony, obojętne, czy mi się to podobało, czy nie, nikt mnie nie będzie pytał o zdanie. Stałem więc ścisnąjąc w dłoni wezwanie i mówiąc sobie, Sala nr 4, oszalał mi ruch i gwar w hallu, Sala nr 4, mówiłem sobie i sta-wiałem kroki jak na gołedzi. Zegar nad schodami wskazywał kwadrans po dziewiątej. Byłem spóźniony. Rozprawa już się pewnie zaczęła. Z wezwaniem w ręce ruszyłem na górę.



odgłosy

TYGODNIA

JESZCZE O PKO

Miesiąc Oszczędzania przyniósł Powszechny Kasie Oszczędności bardzo dużo zasłużonych laureatów. Obecnie wypada już chyba powiedzieć o niej w instytucji kilka ciekawych słów.

Używana aktualnie w PKO książka Skarg i Wniosek zawiera wpisy od 1961 roku, a wśród nich przeważają skargi na bardzo wolne załatwienie klientów. Istotnie, często pobranie lub wpłacenie pieniędzy trwa 30 a nawet 45 minut. Dla osób przyjeżdżających z odległych krain miasta, czas ten wydłuża się niepomnie. PKO robi podobno co może — na przykład w „gorących okresach” uruchamia dodatkowe okienka, ściga pracowników z innych działów. Skutek jest raczej żaden. Przyczyna leży w tym, że Łódź posiada jeden tylko oddział PKO, podczas gdy Warszawa ma ich 7, Kraków 1, Poznań — po 2.

Ponieważ otwarcie II Oddziału w Łodzi przewiduje się dopiero za dwa lata, trzeba chyba

usprawnień szukać gdzie indziej. Na przykład: obecnie by coś załatwić, trzeba stać w dwóch kolejkach — do likwidatora i do kasjera. Podobno ten system jest sprawniejszy. Trudno w to uwierzyć, bo przecież połączenie tych czynności zwiększa dwukrotnie liczbę czynnych okienek, a zmniejsza liczbę klientów przypadających na jednego pracownika.

Ze wszystkich osiągnięć PKO przypomnę tylko jedno: równoległe do wzrostu ilości książeczek premiowanych samochodami lub innymi nagrodami, zmalała o 40 proc. ilość zawieranych zakładów „Kukuleczki”. Jednocześnie coraz częściej słyszy się, niezbyt zresztą dowcipnie, hasło: „Chcesz długo stać w kolejce — oszczędzaj w PKO”.

Jeśli PKO chce swe sukcesy powiększyć, musi jak najprędzej pomyśleć o swych klientach i choćby uczynić „cud z kolejkami”. Zwłaszcza, że w ciągu dwu lat ilość otwartych w Łodzi książeczek oszczędnościowych wzrosła o 202 tysiące, a o ile wzrosła w tym czasie ilość pracowników PKO — nikt (wśród rumieńców i wstydliwych uśmiechów) nie chciał nam powiedzieć.

RECITAL ALEKSANDRA KONICKIEGO

Kilka dni temu w lokalu Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego odbył się interesujący recital młodego łódzkiego pianisty Aleksandra Konickiego. Utalentowany artysta przygotował tym razem repertuar oparty wyłącznie na utworach Fryderyka Chopina.

Pliszemy „tym razem” bowiem — podobnym koncepcje jak miał miejsce w Łodzi — w Łódzkiej Muzycznej przesyłał przedtem Konicki grał przede wszystkim Ravela i Debussy'ego. Są to zresztą ulubieni kompozytorzy młodego artysty (absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi — klasa prof. Marii Wilkomirskiej), który studiował w Konserwatorium Paryskim u pedagogów tej miary co Jacques Favrier i Lucette Descaves i nieco „zaraził się” francuską muzyką.

Tym razem jednak Aleksander Konicki grał Chopina i jak twierdził znawcy, który recital bardzo się podobał, młody pianista czuł się w tym repertuarze znakomicie.

Koncert jak już powiedzieliśmy odbył się w lokalu LTM, który od lat niezmiennie umożliwia publiczne występy młodym, wstępującym artystom. Byłoby chyba bardzo dobrze, gdyby także Filharmonia udostępniła od czasu do czasu swoją estradę artystom niefirmowanym znanymi nazwiskami.

ESTRADA DLA WSZYSTKICH

Trzeba przyznać, że bieżący rok jest szczególny obfitość we wszelkiego rodzaju imprezy estradowo-amatorskie. „Uczymy się śpiewać”, „Spotkania z piosenką”, „Szukamy talentów”, „Estrada dla wszystkich”, „Spotkania przy mikrofonie” — to tytuły wielu imprez młodzieżowych.

Ostatnio Międzyzakładowy Dom Kultury im. L. Waryńskiego zorganizował eliminacje młodzieżowe w dziedzinie muzyki, tańca, piosenki i recytacji, pod ogólnym tytułem — „Estrada dla wszystkich”. Cieszy nas fakt, że kierownictwo DK im. L. Waryńskiego zainteresowało młodzież tańcem, muzyką i poezją nie poprzestając tylko na eksponowaniu piosenki. W konkursie wzięło udział około 120 uczestników.

Pierwsze miejsce należy przyznać Lidii Żygo. Ta 20-letnia

dziewczyna śpiewa dopiero od kilku miesięcy. Dobry, silny głos, interpretacja tekstu i... świetna znajomość języka rosyjskiego. (L. Żygo przez trzy lata mieszkała w ZSRR). Sądźmy, że będzie ona poważną kandydatką do zajęcia dobrego miejsca w konkursach na piosenkę radziecką.

Wydaje się, że impreza typu zorganizowanej przez

NIENACKI W TEATRZE POWSZECHNYM

Od kilku dni Teatr Powszechny wystawia sztukę Zbigniewa Nienackiego „Golem”. Jest to — po „Termitierze” — druga poważna pozycja znanego pisarza i dramaturga mieszkającego i pracującego w Łodzi, której prapremiera odbyła się na deskach łódzkiego teatru. Anonujemy to wydarzenie z prawdziwą satysfakcją. Łódź, która dotychczas znana była jako miasto poetów — zaczyna być miastem dramaturgów. W przypadku Nienackiego — autora wielu powieści („Uroczyśko”, „Skarb Atanaryka”, „Pozwolenie na przywóz lwa”, „Worek judaszów”, „Laseczka i tajemnica”, „Podniesienie”) próby dramatopisarskie świadczą o szerokim wachlarzu jego zainteresowań artystycznych. Przypominamy, że „Termitiere” (która otrzymała w r. 1962 III nagrodę na ogólnopolskim konkursie teatralnym WRN w Krakowie oraz II nagrodę w konkursie teatru Ateneum w Warszawie) wystawił także Teatr im. Wegierki w Białymstoku. Telewizja Warszawska wystawiła sztukę Nienackiego „Styks”.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

Widz, który oglądał film „Łódź, miasto nieznane” — zapamiętał chyba bardzo piękny, dźwięczny i wyrazisty głos Ryszarda Sobolewskiego, który spełniał tu niewdzięczną a tak jednak ważną — funkcję narratora. Zresztą Ryszarda Sobolewskiego oglądaliśmy również na deskach Teatru Powszechnego. Po ukończeniu studiów teatralnych w Kijowie przez cztery lata występował w Poznaniu. Dał się nam poznać jako kapral Mac Leasch w „Błękitnym patrolu”, Helmer w „Norze” Ib-sena (pamiętne — gościnne występy — Bar-szczewskiej), a także reżyser sztuki Karola Obidniaka „Pokój pełen dymu”. Po dwuletnim pobycie w Szczecinie Sobolewski powrócił do Łodzi — możemy obecnie oglądać go w bardzo interesującej sztuce Zbigniewa Nienackiego „Golem”.

tekst i zdjęcie
GERARD PUCIATO



RYSZARD SOBOLEWSKI

„TYGRYSY” OŻYŁY

W powodzi big-beatowej północy i ćwierć-szmiry miło donieść o ożywieniu się ruchu jazzowego. Po zdobyciu II miejsca na ogólnopolskich eliminacjach zespołów jazzowych w Krakowie Tiger-Rag — zespół Jazz-Clubu przy KŁ ZMS rozpoczął ożywioną działalność. Warto zaznaczyć, że pomimo różnorodnych przeciwności losu i emigracji wielu utalentowanych muzyków Tiger-Rag istnieje już przeszło 7 lat odnosząc w tym okresie sporo wartościowych sukcesów. W październiku zespół ten rozpoczął cykl systematycznych koncertów, których możnaby było słuchać w wielu łódzkich salach m. in. w MDK i Filharmonii. Tiger-Rag skupił ostatnio wokół siebie kilku utalentowanych solistów-piosenkarzy (M. Tomaszewska, B. Glinkowska, K. Wawrzkiwicz, J. Garniewicz) i prezentuje b. przyjemny program rozrywkowo-jazzowy. Całość wiąże słowem znany z „Pstrąga” Gawlik.

Z czystym sumieniem zachęcamy wielbiciele tzw. „łżejszej muzyki” do słuchania i oglądania tych wzbogacających wale życie muzyczne naszego miasta koncertów.



LILIPUT
Znany przed I wojną światową dentysta łódzki, Wacław Morawiecki, był niezmiernie mądrego wzrostu. Czynił więc wszystko, aby zwrócić na siebie uwagę. Pewnego razu zajeżdżał przed dom, gdzie miał swój gabinet — parokonna dorozka. Przechodzący dziennikarz łódzki Henryk Frenkiel był niezmiernie zdumiony, gdy zauważył że z pustej dorozki wysiadł jego przyjaciel Morawiecki.
— Czemu to dwukonna dorozka przyjechała? — zwrócił się do Morawieckiego Frenkiel.
— Bo inaczej to i ty byś mnie nie zauważył — odpowiedział Morawiecki.

WIELBICIEL **
Pewien łódzki bankier był wielbicielem aktorki, nie nale-

żące do pierwszorzędnych. W dniu imienin owej damy, ofiarował jej pięknie oprawną książkę. Pierwsza kartka stanowiła bilet Bankowy na 25 rubli. Urządowana solenizantka odwróciła żywo tę kartkę i naliczyła następnie dwadzieścia podobnej treści.
Ofiarodawca przybył potem osobliwie i zapytał:
— Jak ci się podobała moja książeczka?
— Nadzwyczajnie! — odpowiedziała. — Czekam z niecierpliwością dalszego ciągu tej powieści.
Bankier posłał jej nazajutrz drugą podobną książkę, na ostatniej jednak stronie u dołu zamieścił adnotację: „Koniec drugiego i ostatniego tomu”.

****** „Księgi Humoru Polskiego” — Bartoszewicza.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 36, Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, Histonosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”.
Druk: RSW „Prasa”. Łódź, Zwirki 17.
Zam. 3378, X. 63, K-4

MIECZYŚLAW BANDURKA

ARCHIWUM MIEJSKIE W ŁÓDZI

Obok archiwów państwowych mających na celu gromadzenie, zabezpieczanie i udostępnianie akt urzędów i instytucji państwowych, pod koniec ub. stulecia oraz w okresie 20-lecia międzywojennego, organizowano archiwa miejskie. W ich liczbie powstało również Archiwum Łódzkie. Okoliczności jednak powstania tego archiwum były dość szczególne i dlatego zasługują na uwagę. A mianowicie w r. 1924 na skutek lekkomyślności lub zupełnej ignorancji oddano kilka wagonów akt miejskich z XIX wieku do fabryki papieru w Bydgoszczy, traktując je jako makulaturę. Dopiero ten skandaliczny wypadek stał się przyczyną powołania do życia Archiwum Miejskiego w Łodzi.

chiwaliów łódzkich szło w parze z rozwojem miasta. W roku 1826 Archiwum Łódzkie posiadało „w skrzyni przywilejowej” 9 ksiąg miejskich oraz 9 przywilejów, jakie miasto otrzymało na przestrzeni czterech wieków swego istnienia, tj. od roku 1474 do 1792. W okresie 20-lecia międzywojennego Archiwum Łódzkie mimo „młodego wieku” rozpoczęło żywą działalność organizacyjną i naukową. Owocem tej pracy były m. in. trzy tomy wydawnictw źródłowych opartych w dużej mierze o zbiory tegoż archiwum. Okres wojny Archiwum Łódzkie przetrwało szczęśliwie. Bezpośrednio po wojnie natomiast wraz z Archiwum Państwowym w Piotrkowie dało podstawy do badań naukowych historyków zgrupowa-

wanym przy Uniwersytecie Łódzkim. Archiwum to rozpoczęło również akcję zabezpieczania akt miejskich o kolicznym miast fabrycznych. W nowych warunkach powojennych, Łódzkie Archiwum Miejskie przejawiało bardzo energiczną działalność. Wkrótce tj. w 1949 r. powołane zostało do życia drugie archiwum, na terenie Łodzi, Archiwum Państwowe. Obie te placówki w roku 1951 weszły w skład Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łodzi, któremu podlegały archiwa powiatowe. Wydany w marcu tegoż roku dekret dał prawne podstawy działania archiwum. Natomiast ciarna i sprężysta działalność pracowników sprawiły, że wkrótce wojewódzkie archiwum wraz z archiwami terenowymi, zgromadziło około 13 km

bież. akt, które pozostały po różnych urzędach, instytucjach, fabrykach, stowarzyszeniach i szkołach istniejących i działających w XIX i XX stuleciu. Ponadto Archiwum Łódzkie przechowało również ponad 100 dokumentów pergaminowych „księgi wiecyste obywatelstwa łódzkiego miasteczka Łódź” oraz inne „starożytności”. Poważną pozycję stanowi komplet prasy łódzkiej z ub. i bież. stulecia, wydawnictwa urzędowe oraz tzw. „łódziana” tj. biblioteka dot. Łodzi i województwa. Zbiory te sprawiły, że w pracowni naukowej rocznie udostępnia się przeciętnie około 6 tys. woluminów akt, prasy i książek oraz rocznie wydaje się ponad 3000 odpisów i zaświadczeń dla celów administracyjnych.

Obraz działalności Archiwum Łódzkiego byłby niekompletny, gdyby nie dodać jego pracy popularyzatorskiej i dydaktycznej. W tym celu organizowane są pogadanki i odczyty o tematyce regionalno-historycznej, tzw. spókania z dokumentem oraz wystawy, gdzie społeczeństwo zapoznaje się z cenniejszymi materiałami.

Szczególnie żywą działalność rozwija się wśród młodzieży szkolnej. Ekspozycji takich i wystaw na terenie naszego miasta zorganizowano już kilkanaście. Jeżeli każdą wystawę pomnożymy przez kilkanaście lub kilkudziesiąt tysięcy zwiędających to dowiemy się, że szerokie rzesze mieszkańców Łodzi nawiązały kontakt z zbiorami Archiwum. Również w bieżącym roku archiwum nasze wraz z archiwami terenowymi podjęło wzmoczoną akcję popularyzacji zbiorów archiwalnych oraz wiedzy o regionie. Obok pogadek i odczytów, zorganizowane zostały wystawy w Piotrkowie, Sieradzu, Skierkowiecach, Łowiczu, Łęczycy i Tomaszowie. Tematyka tych wystaw dotyczyła setnej rocznicy Powstania Styczniowego.

bądź miała na celu popularyzację archiwów z okazji II Tygodnia Archiwów, który w bieżącym roku obchodziliśmy w dniach od 12 do 20 października. Łódzka wystawa dotyczyła również Powstania Styczniowego w Łodzi i Okręgu Łódzkim. Ekspozowano tu bezcenne oryginalne przekazy źródłowe z okresu Powstania. Aby praca Archiwum dawała większe rezultaty, archiwiści nawiązują ścisłe kontakty z Polskim Towarzystwem Historycznym, którego są członkami, referatem Historii Partii KŁ, wydziałami kultury rad narodowych, Kuratorium, inspektoratami oświaty i muzeami oraz poszczególnymi działaczami kultury.

Kontakty te oraz wydawnictwa źródłowe i monograficzne opracowane w oparciu o zbiory Archiwum Łódzkiego i archiwów terenowych świadczą o bezcennej ich wartości. Dlatego też z okazji minionej Tygodnia Archiwów, pragniemy o tym społeczeństwu przypomnieć. Z tej też okazji należy podkreślić ofiarną pracę tych, którzy ze zbiorów zgromadzili, opracowali i nam udostępniili.